Nr. 40 (1240). Warszawa, 18 Września (1 Października) 1904 r. Rok XXIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Koronacya w Białogrodzie.

Nareszcie Karadżeordżewicz, niemający nawet serbskiego nazwiska potomek Jerzego Czarnego, ukoronował się w stolicy Serbii jako Piotr I. W braku korony cara Duszana, a choćby tylko króla Łazara, na skroń swą wziął sam, czy też od metropolity otrzymał, koronę nową, zrobioną w stylu starodawnym serbskim, z domieszką bronzu z armaty zdobytej na Turkach przez wielkiego rzeczywiście przodka, jakim dla niego i dla Serbii być powinien ten, któremu historya przyznaje zaszczytny tytuł pierwszego bojownika o niepodległość narodu. Ten bronz, jako symbol, więcej znaczy od złota, od drogich kamieni, na które nie stać było ubogiego dworu i uboższego jeszcze ludu. W tym bronzie jest hasło, dziś już w pierwotnej swej postaci, jaką miało w ubiegającem właśnie od pierwszego podniesienia oręża stuleciu, zbyteczne, ale w innej, jako wezwanie do wytworzenia wielkiej Serbii— mające moc żywotną, która porusza duszę, pierś rozszerza i okrzyk szlachetnej żądzy z niej wyrywa.

Ten okrzyk też w słowach: „Niech żyje król Słowiańszczyzny południowej!“ rozległ się na ulicach Białogrodu dnia 21 z. m. Ale Słowiańszczyzna południowa odpowiedziała nań sarkaniem, nawet i zgrzytem. Na uroczystość przybyło wielu Czarnogórców, wielu Bulgarów, sporo Chorwatów i nawet poprzekradali się za granicę Bośniacy. Studenci bulgarscy zmówili się byli z serbskimi na wspólny zjazd koronacyjny dla ułożenia zasad przyszłego pożycia koleżeńskiego na tle polityki, przyczem koleżeństwo było drobnostką, polityka wszystkiem. Z braterstwa ledwo co zawiązanego wypełznął nagle wąż zawiści. Dotknęło Bulgarów stawianie się Serbów: dopatrzyli się w nich żądzy przewodzenia innym Bałkańczykom, i to wystarczyło od razu do oziębienia stosunków. W przedstawieniu teatralnem nie podobało się już nie samym tylko Bulgarom, ale i Chorwatom, apoteozowanie Serbii z uszczerbkiem ich ojczyzn i ich narodowości. Na ogół znowu Serbów, tak w Białogrodzie jak w kraju, przykro oddziałało wyręczenie się ks. Ferdynanda jakiemś poselstwem nadzwyczajnem, gdy bytność osobista, tak łatwa, sama jedna tylko mogła zaspokoić oczekiwania, nieliczące się z polityką, nawet z etykietą, słuchające tylko egoistycznej wyobraźni.

Nie zbrakło również i innych przygnębiających wrażeń. Przedewszystkiem, z wyjątkiem hr. Daniela czarnogórskiego, ani jeden książę krwi nie przybył na uroczystość; umyślnego też, a prawdziwie uroczystego poselstwa nie przysłał żaden dwór, a król Edward VII całą koronacyę pominął zupełnem milczeniem; gdy bowiem od innych monarchów ponadchodziły umyślne listy uwierzytelniające posłów stałych, jako nadzwyczajnych na daną chwilę, władca angielski, wierny swemu oburzeniu na królobójstwo, p. Bonhamowi wszelkiego uczestnictwa w uroczystości wzbronił. Ta surowość etyczna odbija tem jaskrawiej od względności, niosącej w sobie zapomnienie o początku dzisiejszej władzy królewskiej.

P. Gubastowprzyniósł wyrazy krzepiące i króla Piotra i jego naród, a *Nowoje Wremia* i *Ruś* nie zawahały się w koronacyi ujrzeć pierwszego kroku do zjednoczenia Słowian południowych, nie namyślały się też długo nad życzeniem, aby zjednoczenia dokonała właśnie Serbia. W ustach p. Suworyna to życzenie uderza. Bliższą mu jest przecież dynastya Nemanjów, niż Jerzego Czarnego, milszem Czarnogórze, od Piotra W. osłaniane i zasilane, niż Serbia, której nietylko przodownictwa, ale nawet współzawodnictwa z sobą Bulgarya, największa, najsilniejsza i najruchliwsza na półwyspie, z pewnością by nie zniosła. Jeżeli już teraz studenci, ledwo zbratani z podełba patrzeć na siebie musieli, jakimże wzrokiem powitaliby się mężowie stanu obu państw, gdyby któremu z nich zachciało się panowania nad całą Słowiańszczyzną bałkańską? Prosty rozsądek wystarcza do uznania hasła wydanego przez *Nowoje Wremia*, okrzyku upojonych koronacyą samych Serbów — za przedwczesne, o ile nie mają one być wezwaniami do wojny. Dopóki zarodki bałkańskie nie zapomną o własnych swych ojczyznach i jednej wspólnej wyznawać nie zaczną, dopóty wszelkie jednoczenia mogą być tylko owocem walki, krwi, podstępu i przemocy — albo szczęśliwego poparcia z zewnątrz. Ojczyznę wytwarzają dzieje. Długich jeszcze dziejów potrzeba, zanim Słowiańszczyzna Południowa zacznie mieć wspólną ojczyznę.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Zupełna cisza ponad Hun-ho od południa Mukdenu i na wzgórzach ograniczających równinę jego od wschodu. Starcie się u jednego z wąwozów, którego nazwę Czun-pan-ling znajdujemy na mapie, przybywające do dawniejszego rozpoznania, dokonanego przez gen. Samsonowa i Rennenkampfa — to jedyne dwa wypadki wojenne od d. 7 b. m. Temu bezwładowi bojowemu odpowiada ostrożność, z jaką obie strony ustawiają piony na szachownicy,

a nawet w znacznej mierze ją wyjaśnia i tłomaczy. Wyjaśnienie to zwłaszcza potrzebne jest dla zrozumienia powolności ruchów japońskich, odwlekających walkę. Marszałek Ojama przeciwko armii, posiadającej stanowiska stężałe przez sam czas i połączenia ze zbiorowiskami sił ciągle, codziennie, choćby nieobficie przybywających, działać musi z wielką przezornością, aby ustawiając wojsko, zachodząc na boki nieprzyjaciela, nie natknąć się na większą jego siłę i stoczeniem walki, któraby mogła okazać się taktycznie nieunikniona, nie zburzyć swej figury strategicznej, duszy całego planu. Więcej śmiałości rozwinąć może gen. Kuropatkin w centralnem swem położeniu naokoło Mukdenu.

Nie trzeba sobie wyobrażać, aby jedni tylko Japończycy dokonywali ruchów, a gen. Kuropatkin, raz postanowiwszy trzymać się odpornie, w bierności tylko dawał wyraz przestrzeniowej energii swej armii. W tej ciszy bezbojowej, która tu na nas sprawia takie wrażenie, jak gdyby tam nic się zgoła nie działo, dzieje się owszem rzecz najważniejsza we wszelkiej wojnie: zbijanie ludzi, koni i armat w masy na punktach strategicznie najmocniejszych, taktycznie najdogodniejszych, a w jak najdoskonalszej z sobą zależności i wzajemności zostających. Celem Japończyków jest przedostanie się za Hun-ho, płynącą pod samym Mukdenem, a po minięciu go wciskającą się ku wschodowi w góry Hamelingu i Ta-lingu. Zadaniem gen. Kuropatkina jest bronienie tej rzeki, bronić zaś można rzeki, nawet najszerszej, przy dzisiejszej dalekonośności pocisków, tylko na obu jej brzegach. Stąd wynika, że wojska rosyjskie zajmować muszą część widowni wojennej pomiędzy Sza ho (20 klm. od Mukdenu) a Hun-ho, a gdyby japońskie na czoło ich już dotarły, mielibyśmy niezawodnie już doniesienia o znaczniejszych potyczkach, może nawet o bitwie większego znaczenia, chociażby przez obie strony tylko częścią sił stoczonej.

Zdaje się, że nietylko ów pas północnowschodni, biegiem obu rzek ograniczony, ale i dalsza, ku zachodowi, równina aż do Liao-ho znajduje się w strategicznem posiadaniu gen. Kuropatkina. Ponieważ nadto panuje on na prawym brzegu Hun-ho, daleko na wschód od Mukdenu, gdzie góry nad doliną dają mu stanowiska obronne, sztab przeto japoński przy rozstawianiu sił liczyć się musi z ciągłą możliwością napotkania większych mas bojowych bądź na wschodzie, bądź na zachodzie, zwłaszcza w drugim z tych kierunków, dynamicznie dla Japończyków ważniejszym, gdzie przy braku stanowisk obronnych samo przedostanie się na prawy brzeg rzeki może łatwo narzucić konieczność walki, a niepowodzenie w walce może znowu zagrozić nietylko całemu planowi, ale i całej armii. Gra między stronami jest niezmiernie poważną a trudną. Dla Japończyków co się nie dokonało pod Liao-jangiem, ma się dokonać pod Mukdenem: dla Rosyan co najmniej powtórzyć się ma Liao-jang. Rzecz prosta, że gdyby nawet zima, ostra już w październiku, nie nakazywała Japończykom pośpiechu, nakazałoby go wzmacnianie się codzienne armii rosyjskiej, zmieniające stosunek sił na niekorzyść strony nacierającej. Na wypadki niedługo już czekać będzie potrzeba.

Korpusy nowoprzybywające z Cesarstwa wchodzić będą w skład nowo tworzonej, drugiej armii mandżurskiej, której naczelnym wodzem został gen. Grippenberg, dowodzący wojskami okręgu wileńskiego.

Port Artura utracił fort „Kuropatkina." Sam Laoteszan znajduje się w ciężkiem położeniu, jeśli poblizkie Erlunszan i Iteszan nie zdołały się obronić. W d. 19—21 z. m. Japończycy znowu szturmowali, a powtórzyli szturm, według *Nowoje Wremia* na wszystkich punktach odparty, w d. 23 z. m. Dzienniki zapowiadają nowe przedzieranie się osaczonej floty do Władywostoku.

Okręty „Petersburg" i „Smoleńsk" przepłynęły już Port-Said do Libawy na Bisertę; nie dano im tyle węgla, ile chciały. „Terek" znalazł się aż w przystani Las Palmas w archipelagu kanaryjskim. Rząd hiszpański nie pozwolił mu na dłuższy pobyt; widziano go już pod Lizboną. Wieść o owych dziewięciu krążownikach, które jakoby znajdować się miały już na wodach hiszpańskich — w znaczeniu potocznem, nie międzynarodowem, hiszpańskich — okazała się błędną. Według dzienników rosyjskich eskadra bałtycka jeszcze nie wypłynęła; niema też doniesień z Sundu i Kategatu.

We Francyi komisya parlamentarna odbyła już rewizyę marynarki w Cherbourgu i Brešcie. Wrażenie wyniosła nieosobliwe: sprawność niewielka, a karność rozluźniona.

Uroczystości koronacyjne w Białogrodzie zakończyły się katzenjammerem młodzieży słowiańskiej, niezadowolonej z tego, że kogut serbski siadał na najwyższą grzędę i piał głośniej od innych. Starsi mieli przedsmak przyszłego przodownictwa Serbii. Przeciwnicy rządu piorunują na zaszczytne odznaczenia morderców.

Cesarz Wilhelm posłał był do obozów japońskich jednego z Hohenzollernów. Rzeczoznawca zawinął już do Jokohamy i zawitał do Tokio. Sam mikado go rewizytował. Oczywiście prócz ciekawości wojskowej nasycić się tu chce i jakaś chciwość polityczna.

W Tybecie już podnosi się opór przeciwko traktatowi z Anglią. Lada chwila Dalaj lama powróci na scenę.

Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

(Ciąg dalszy).

Wiek XVII był wogóle na całym Wschodzie wiekiem zwycięztwa despotyzmu i, co za tem idzie, posępnego zasklepienia się w własnych granicach. Nawet Japonia w owym czasie hołduje zasadzie „nie chcę znać nikogo i nikomu nie pozwolę się poznać." Ale najbezwzględniej przeprowadziła ją Korea, słusznie zasługując na nazwę „Państwa Pustelnika." Stosunki z zwierzchniczemi Chinami i z zdobywczą Japonią sprowadzone zostały do krótkich i ograniczonych poselstw dorocznych z wymianą podarunków i towarów, dopełnianych przez towarzyszących poselstwom kupców. Pilnie strzeżeni i obezwładnieni najrozmaitszymi przepisami, kupcy korejscy byli raczej nadzorcami nad ładunkiem żeń-szenia, tkanin bawełnianych i papieru, wywożonych w owe czasy głównie do Chin. Musieli zdawać szczegółowe sprawozdanie urzędnikom z swych obrotów, zysków, nawet ze znajomości [1]). Stosunki z Japonią polegały na zamianie 33,000 sztuk tkaniny bawełnianej, 1,500 pikuli [2]) ryżu i 70 pikuli bobu; za to udzielny książę wyspy Cusima dostarczał 323 pikuli miedzi, 57 pikuli drzewa farbiarskiego, 34 pikuli pieprzu, 14 pikuli ałunu i 154 pikuli wosku. Japończycy mieli stałą faktoryę w Fuzanie, gdzie wolno im było raz lub dwa razy miesięcznie urządzać w ciągu kilku godzin jarmarki dla handlu z krajowcami [3]). Chińczycy mieli prawo urządzać takie jarmarki w m. Wiczżiu i Kiön-uön trzy razy do roku. Z czasem jednak, pod naciskiem wciąż rosnącej kontroli urzędniczej i te stosunki zmalały, prawie znikły lub znieprawiły się, zamieniwszy w przemytnictwo. Kolonia japońska w Fuzanie bardzo podupadła, stała się letnią stacyą rybacką. W. Broughton w 1797 roku nie znalazł Japończyków w Fuzanie.

W Japonii jednak szybko dojrzewały reformy, które w połowie ubiegłego stulecia zakończyły się rewolucyą. W Korei tymczasem nic nie dojrzewało; przeciwnie, w 1844 r. pojawienie się tam misyonarzy europejskich wywołało obostrzenie prawideł dla przejścia granicy i pobytu cudzoziemców. W 1866 r. napad Francuzów na Koreę wywołał prawo, zabraniające pod karą śmierci, handlu towarami europejskimi, które już zaczynały dostawać się na półwysep za pośrednictwem Chińczyków i Japończyków. Rybakom, którzy spotykali się na morzu z cudzoziemskimi statkami, również pod grozą śmierci wzbronione były wszelkie z przybyszami stosunki, nawet rozmowa. W 1875 r. statek japoński został powitany strzałami z wyspy Kau-hoa. Japończycy skorzystali z tego i postanowili uregulować ostatecznie swe stosunki z Koreą. Ale dopiero 26 lutego 1876 r. zdołali wymusić u rządu korejskiego przez wysłanie floty wojennej otwarcie kilku portów dla swego, budzącego się przemysłu i handlu. Były to bardzo marne prawa i tyczyły się jedynie trzech portów (Fuzan, Czemulpo, Genzan) oraz przyległych im okolic w obrębie 5 kilometrów. Pobory, ucisk i zła wola urzędników miejscowych, zabraniających krajowcom pod rozmaitymi pozorami sprzedawać cokolwiek, uniemożliwiały zupełnie zdrowy rozwój handlu, spychając go znowu do rzędu kontrolowanej kontrabandy, opłacanej nieustannie łapówkami. „W miejscowościach rolniczych—mówi o tych czasach kronikarz rosyjski [1]) — zakazano mieszkańcom, pod pretekstem głodu, sprzedaży ryżu i roślin strączkowych, tak że częstokroć plony (niezebrane) gniły na polu. W razie zaś ogólnego pozwolenia przyczepki miejscowych urzędników były tak liczne, że Korejczycy potajemnie dostarczali częściami swój towar do składów japońskich. W 1888 roku zakaz wywozu ogłoszony został nieprawnie na 28 dni przed terminem, gdy zaś zniesiono go na stanowcze żądanie posła japońskiego, gubernator prowincyi Ham-giön-do mimo to przetrzymał dwa miesiące wywóz ryżu z Genzanu. Kosztowało to rząd korejski 100,000 dol. odszkodowania, lecz urzędnicy dopięli swego, gdyż chodziło im o skupienie za bezcen zapasów, nagromadzonych u włościan i przekupniów krajowych, aby je potem z wielkim zyskiem odprzedać za granicę" [2]).

„Wywóz również podlegał wciąż rozmaitym, krępującym rozporządzeniom — mówi ten sam kronikarz rosyjski — oddano np. kilku kupcom korejskim monopol na wyłączny handel w portach otwartych, wskutek czego ceny towarów niezmiernie podskoczyły w górę. Urzędnicy nigdy nie zapominali o sobie i według Astona w Genzanie już po otwarciu go dla handlu japońskiego od 1 maja 1880 r. niżsi urzędnicy i tłomacze, pobierali podatek od najmarniejszego kupna, co dawało im znaczne zyski" [3]).

Nawet później, już w 1893 r., miejscowa władza w Czemulpo kazała stawać i wyładowywać się dżonkom korejskim, przybyłym z ryżem, bobem, skórami o półtory wiorsty od portu około wsi Mań-siök-tou i tylko stanowczy opór kupców zniósł ten rozkaz bezcelowy i uciążliwy dla wszystkich [4]). Wbrew traktatom towary zagraniczne muszą prócz cła opłacać się na licznych, prowincyonalnych rogatkach celnych wewnątrz kraju, co wynosi 300 phun (60

[1]) Podobny charakter nosił w owe czasy handel zagraniczny i w Rosyi. Patrz „Poselstwo Ruskie," Kubala.

[2]) Pikul = 60 kilogramów.

[3]) Pogi . ibid. 239.

[1]) „Opisanie Korei," cz. II, str. 244.

[2]) „Opisanie Korei," cz. II, str. 261.

[3]) tamże, str. 244.

[4]) „Repport on the Trade of Corea for the year 1895," str. 4—6, cytowane według „Opisania Korei."

kop.) na sztukę perkalu [1]. Czasem jakiś urzędnik pomysłowy ustanawia samodzielnie taką rogatkę w podwładnem mu mieście. Plagą kupców są też maklerzy portowi, którzy pobierają znaczne procenty i bez których nie obchodzi się żadna sprzedaż. Prócz pośredników prywatnych, przyznanych jedynie przez zwyczaj, rząd korejski naznaczył w 1890 r. maklerów rządowych, z których jeden zamieszkiwał w Fuzanie a drugi na wyspie Quelpart; pobierali oni od prywatnych pośredników bez względu na udział ich w kupnie ³/₅ ich zarobku, co odrazu zwiększyło komisowe o 30%. Takich spraw, ograniczeń, nadużyć możnaby przytoczyć niezliczone przykłady.

Poczynając od 1876 r., Japończycy musieli cały czas staczać zażarte walki z biurokracyą korejską; dobrze zrozumiany interes własny połączył ich ściśle i na długo z postępową partyą patryotów miejscowych. W rezultacie wywalczyli oni dla siebie cały szereg ulg i zmian ogólnych, korzystnych jednocześnie dla ludu korejskiego oraz innych państw, które zawarły traktaty handlowe w następującym porządku: Stany Zjednoczone (22 maja 1882 r.), Chiny (? września 1882 r.), Anglia i Niemcy (26 listop. 1883 r.), Włochy (26 czerwca 1884 r.), Rosya (7 lipca 1884 r.), Francya 4 lipca 1886 r.), nakoniec Austro-Węgry (23 czerwca 1892 r.). Traktaty różniły się jedynie w szczegółach, określały cło przywozowe zależnie od gatunku i wartości towarów w rozmiarze 5, 7¹/₂, 10 i 20 procentów, a cło wywozowe naznaczały dla wszystkich przedmiotów w ilości 5% wartości. Złoto oraz rzeczy podróżnych wolne od cła. Przywóz opium i wywóz żeń-szenia (czerwonego) były stanowczo wzbronione. Opłata portowa miała wynosić 30 centów od tonny pojemności statku. Oprócz Fuzanu, Genzanu i Czemulpo otwarto cały szereg portów i miast, których liczba stopniowo dosięgła 12 [2]) miejscowości. Tam wolno cudzoziemcom kupować i dzierżawić ziemię w granicach pięciu kilometrów oraz wyjeżdżać bez pasportów na odległość 50 kilometrów, podróżować za pasportami po całej Korei. Parowce oraz żaglowce cudzoziemskie mogły odwiedzać porty korejskie bez przeszkody w ilości nieograniczonej, a do innych portów zawijać, skoro były wynajęte przez kupców korejskich.

Japończycy umiejętnie skorzystali ze zdobytych ustępstw. Stosunek ich handlowy z Koreą określił się już od wieków: potrzebowali oni przedewszystkiem: ryżu, bobu, grochu, bawełny surowej, ryby i rybiego kompostu, kapusty morskiej, trepangów, skór bydlęcych i kości, wreszcie złota; mogli wzamian ofiarować Korejczykom fabrykaty z początku cudze, przeważnie angielskie, następnie swoje, w miarę rozwoju przemysłu własnego.

Lecz straszny, 300-letni ucisk urzędniczy zabił wszystko w Korei. Potrzeby większości ludu zeszły do zera, rolnicy produkowali tyle tylko, ile potrzeba im było na własny użytek i opłacenie podatków. Należało stworzyć te potrzeby, wyprzeć domowe wyroby przez towar tani i dobry, a jednocześnie rozszerzyć produkcyę rolną. Trudności potęgowały się wskutek braku komunikacyj odpowiednich dla szerszego handlu, obyczajów kupieckich, niezwykle słabego w kraju obiegu pieniężnego oraz zupełnem nieistnieniem jakichkolwiek zapasów wśród ludu korejskiego. Aby rolnik mógł obsiać większe przestrzenie, potrzeba mu było dostarczyć przedewszystkiem nasion i środków na kupno lub dzierżawę ziemi. Trzeba było zorganizować kredyt, agentury, dostawy oraz zmienić system monetarny i podatkowy. Większość tych rzeczy została dokonana albo zapoczątkowana poważnie w niespełna 30 lat.

[1]) Tamże.

[2]) Patrz wyżej rozdział „Wybrzeża.“

Japonia może się nie obawiać obecnie czyjegokolwiek współzawodnictwa handlowego w Korei, mógł jej tam grozić jedynie oręż zdobywczy lub gwałt fizyczny. Ale byłoby to przedewszystkiem straszną klęską ekonomiczną dla samego półwyspu. Japonia z jej pięćsetmilionowym (jen [1]) obrotem zewnętrznym zaledwie nieznacznie odczułaby utratę 14—15-milionowego obrotu z Koreą, ale w Korei przerwa lub utrudnienie stosunków z Japonią nawet na krótko wywołałyby silne wstrząśnienie i wstrzymały na długo zapoczątkowany jej rozwój.

Uważne zbadanie tablic statystycznych zagranicznego handlu Korei z ostatnich lat szesnastu przekonywa nas, że wywóz korejski wzrasta szybciej od dowozu i że za główny rynek służy Korei Japonia. W 1886 r. wywóz (504,225 dol.) przedstawiał 16% ogólnego obrotu (2,978,410 dol.); w 1902 dał on (8,460,340 dol.) 38% całego ruchu (22,283,650 dol.) [2]); największy wzrost przypadł na ryż i grochy oraz zboża, które wyłącznie idą do Japonii. W roku 1902 wartość ich (5,648,230 dol.) wynosiła 66% ogólnego wywozu (8,406,250 dol. [3]), ilość zaś podskoczyła z 3,325,260 kilogr. (1886 r.) do 99,643,572 kilogr. (1902 r.), to jest zwiększyła się prawie *trzydzieści* razy. Jęczmienia, pszenicy, prosa w 1886 r. nie było wcale na rynku korejskim; obecnie (1902 r.) sprzedają ich rocznie:

Ryżu	50,560,426	kilogr
Grochu, bobu i wysłoków bob.	43,513,410	„
Pszenicy	5,700,533	„
Jęczmienia	143,840	„
Prosa	85,333	„

Prócz tego Korea wywozi do Japonii sporo ryby suszonej, solonej i świeżej, rybiego kompostu (na sumę 100—140 tysięcy dol.) oraz kapusty morskiej, trepangów, skór bydlęcych, łoju, kości itd. Żeń-szeń (biały i czerwony) wyłącznie prawie idzie do Chin. Do ważnych przedmiotów wywozu należy również złoto, którego zaregestrowano na komorach 1902 roku na sumę 5,064,106 dol., ale w istocie wywożą go z Korei o wiele więcej; granicą lądową, oraz mimo komór. Inne państwa nic prawie nie wywożą z Korei, która na potrzeby wojska zakupuje rocznie do 3,000 sztuk bydła wartości około 100,000 rb. oraz owsa za 8 do 12 tys. rb. Dowóz towarów z Rosyi, choć wzrasta powolnie, nie przekracza dotychczas 150,000 rubli rocznie; ma on wyłącznie pograniczne, miejscowe znaczenie i żadnego wpływu na stosunki gospodarcze Korei dotąd nie wywiera.

Chociaż dowóz towarów zagranicznych stale przewyższa wywóz korejski na znaczną sumę, skoro jednak dodamy doń ilość wywożonego za granicę piasku złotego, to okaże się w ostatnich latach pewna zwyżka na korzyść Korei. Pokrywa więc Korea swe zakupy zewnętrzne zupełnie [4]).

Powtarzamy, że ilość wywożonego złota o wiele jest większa od przytoczonej, dzięki znanej powszechnie niechęci Korejczyków do wszelkich stosunków z urzędnikami; przewyżka złota pojawiła się dopiero w 1897 r., kiedy zaczęły pracować kopalnie amerykańskie i japońskie, nielękające się regestracyi.

Z początku Japonia prowadziła handel towarami europejskimi, przeważnie angielskimi, ale w miarę jak zapoznawała się z rynkiem, zaczęła wyrabiać własne, odpowiednie dlań przedmioty i w 1896 r. agent francuski w swem sprawozdaniu daje im pierwsze miejsce na rynku korejskim [1]) Porty Fuzan i Genzan są zasilane wyłącznie prawie przez Japończyków, a Czemulpo jest portem najbardziej europejskim. Tam w 1891 r. stosunek towarów układał się w następującym porządku [2]):

Towary angielskie . .	54	%
„ japońskie . .	24	„
„ [illegible] . .	13	„
„ niemieckie .	[illegible]	„
„ amerykańskie .	2	„
„ rosyjsk. i franc.	1	„

Z rodzaju towarów [3]) naczelne miejsce otrzymują tkaniny (angielskie i amerykańskie za 2,077,480 dol., japońskie za 1,[illegible]50 dol.), następnie za poważną sumę 989,330 dol. sprzedaje Japonia do Korei nici (bawełnianych), z których Korejczycy tkają swe perkale domowe. Dalej również wyłącznie z Japonii idą tkaniny z pokrzywy (grass-cloth) (573,100 dol.), tkaniny jedwabne (864,440 dol.) poczęści z Chin, poczęści z Japonii; nafta (779,880 d.) z Ameryki, worki i sznury (314,080 d.) z Japonii, papierosy i cygara (202,730 d.) z Japonii, bawełna surowa oraz wata (161,460 dol.) z Chin i Japonii, saké i samszu (wódki) (159,240 dol.) z Chin i Japonii, cukier (150,390 d.) z Honkongu i Formozy, zapałki (181,100 d.) z Japonii, farby (83,610 d.) z Japonii. Reszta towarów, jako to: galanterya (1,886,420 d.), metale (592,660 dol.), maszyny (146,080 d.), materyały kolejowe (461,120 d.), przybory górnicze (466,590 d.), konserwy i suchary (191,540 dol.), mąka (74,330 d.), nasiona (93,370 d.), papier (76,540 d.), sól (79,930 d.), broń i amunicya (95,560 d.) oraz inne pomniejsze pochodzą z rozmaitych miejscowości.

(C. d. n.)

W. Sieroszewski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Malarya.

Po drodze monotonnej życia idą liczni skazańcy krokiem wolnym, chwiejnym, oczy ich płoną gorączką, usta szepcą jakieś jęki, nogi poruszają się ciężko, ołowiano. Położyła na nich swe ręce straszna choroba wieku — malarya.

	1892	1893	1894	1895	1896	1897	1901	1902
Przewyżka dowozu nad wywozem	2,154,746	2,182,039	3,520,348	5,606,405	1,802,624	1,093,419	4,706,460	5,417,260
Wartość notowa. na komorach złota .	852,751	918,659	934,075	1,352,929	1,390,412	2,034,079	4,993,351	5,046,106
Różnica . . .	—1,301,995	—1,263,380	—2,586,273	—4,253,476	—412,212	+940,660	+286,891	—353.154

[1]) Jen = dolar. korejskiemu = 98 kop. (przed wojną).

[2]) Bez złota.

[3]) Bez złota.

[4]) Cyfry do 1897 r. wzięte z „Opisania Korei.“ cz. III, str. 179 i 185; lata 1901—2 patrz Hamilton, s. 305.

[1]) „Moniteur officiel du commerce,“ 31 Marz, 1898, cytow. według „Opisania Korei.“

[2]) „Decennial Reports“ App. II, str. XXXV.

[3]) Przytaczam cyfry za r. 1902

Są też inni, dotknięci okrutną ręką niewidzialnej potęgi: zemsty czasu. Ci są „krzepcy“ zdrowiem, o lśniących policzkach, bardzo zadowoleni i weseli — „używający życia“.

Ci pierwsi i ci drudzy wielce są do siebie podobni.

Czas pędzi, życie wre, rozwija się, komplikuje, staje się coraz więcej złożonem, coraz bardziej trudnym. Ściśle odpowiada temu zjawisku wewnętrzne wysubtelnianie się, potężnienie odczuwalności natury ludzkiej. Wskutek zerwania związku między powszechnym rozwojem a wewnętrznym potęgowaniem się siły psychicznej powstają tragedye, których „bohaterami“ są powyżej wymienione dwie kategorye ludzi współczesnych.

Nie zamierzam przebywać w krainie abstrakcyi. Podobno nie jest to dzisiaj modnem, nuży i nudzi czytelników. Weźmy za punkt wyjścia fakty częste, stale się powtarzające. Wśród bezbarwnego na pierwszy rzut oka tłumu łatwo dziś rozróżnić przedstawicieli tych pierwszych i tych drugich.

Nawet ludzie, głęboko patrzący na życie, ludzie o szerokim horyzoncie i płomiennym polocie ukochania są względem tych pierwszych dziwnie niesprawiedliwi.

Przedstawiciele zaś drugiej kategoryi tak się u nas rozplenili tylu ich napotykamy na każdym kroku, że poprostu oczy nasze „daltonizują się“ w tym kierunku, widzimy w nich malum necessarium, z którego co najwyżej pokpić i pośmiać się można. Sami oni umiłowali ten ton i z upodobaniem łają się nawzajem od burżujów, mieszczuchów itd.

Natomiast pierwsi, stanowią dotąd grupę odrębną; nie są oni ogółem, lecz tylko pewną na tym ogólnym tle wypukłością. Przeciw nim zwrócone są ostrze, i coraz częściej poczyna grzmieć okrzyk: precz ze słabymi, bo oni zarazę niosą w dom zdrowy.

Powstaje pytanie czy istotnie malarya tych ludzi jest szkodliwą. Przyjrzyjmy się jej bliżej.

W dziejach kultury proces falowania jest zjawiskiem powszechnem, fale idą to powoli to prędzej, to opadają, to się wznoszą. Najwyższe napięcie wyrażają pewne momenty, pewne chwile przełomowe. Siła takiej chwili wtedy jest potężna, kiedy wszelkie strony życia równomiernie dochodzą do najintensywniejszego napięcia. Jest to faktem bardzo rzadkim, zazwyczaj bowiem pewne prądy nawet jednocześniej powstałe nierównomiernie rozwijają się i natężają.

Przed przełomem panuje powszechna fermentacya. Zanim roślina wypuści kieł nad ziemią przejść musi wielką mękę w samej ziemi, mękę dzisiejszą, rodzącą cierpienie, czyn i malaryę.

Warunki współczesne wymagają od człowieka niezwykłego zrównoważenia i ogromnej siły, aby mógł wytrwać w sztucznie gorączkowym, powolnym ogniu konsekwencyi życia codziennego i nie uległ, nie skłonił się w jedną lub drugą stronę. Dlatego prawie wszyscy podlegamy różnym wahaniom, wstrząśnieniom, katastrofom wewnętrznym. Wielu pozostaje na zawsze chorymi, niezdolnymi do czynu.

Czy istotnie oni, ci ludzie pierwszej kategoryi są tak groźni? Psychologia ich zbyt jest zawiłą, i nie mam bynajmniej zamiaru rozpatrywać jej obecnie. Weźmy tylko rys zasadniczy. Należą tu różne osobniki w rozmaitych stadyach tej choroby. Jedni, to ludzie posiadający wybitne w pewnym kierunku, prawie genialne zdolności, lecz bez siły aby sprostać ogromowi własnego talentu, który ich gnie ku ziemi. Niektórzy z nich odbiegli od współczesności, a sił nie mają aby pozostać na pustyni i to jest przyczyną ich niedoli. Inni, niewybitni są i bez głębszej cechy, niepokój tylko mają w sobie, który rani i nie pozwala im wejść w szeregi przeciętne powszednich atomów tłumu.

Wszystkim wspólną jest niemoc wobec życia zewnętrznego, wobec wszystkiego, co jest po za nimi, niemoc połączona z wrażliwością i odrazą do samotności. Brak im siły wewnętrznej, krzepiącej, brak odporności — nie potrafią zaciąć zębów i przemóc, opanować bólu.

Dusza niektórych podatna wysubtelnieniu, lecz z olbrzymiej, nowej nieraz psychicznej treści nie wyrosła nowa wartość, nowa sił, nowa moc ducha. Mają oni świadomość bólu, świadomośc życia, lecz nie mają siły życia.

Inni znowu są rozkołatani, rozbici, ci oprócz pewnego dreszczu, zziębnięcia — nie mają w sobie nic; męka ich odbywa się po za świadomością; mają oni w sobie półświadomość bólu—tylko gorączkę, chwiejność i niemoc.

Po za tem tłem ogólnem idzie rozmaite stopniowanie i różniczkowanie. Jedno ich łączy: i tych wybitnych i tych tylko nieszczęśliwych — męka duszy. Czucia oni nie postradali, a doba współczesna skazała ich na niemoc.

Męka duszy jest zjawiskiem po za kategoryami, stworzonemi przez wzajemne tarcie się jednostek i wpływu znaczniejszego na ogół mieć nie może. Działa tylko osłabiająco na pewne jednostki, niweczy je, lecz to samo, że te dusze jeszcze nie zagasły dla męki, dowodzi, iż nie są one po za wpływem czasu. Im męka ich większa, tem jaskrawsze niesie świadectwo życiu, odwiecznej przemianie. Ludzie ci są smutnymi pomnikami pochodu kultury, istnienie ich zapowiedzią, że z fermentacyi chaosu wyjdzie przyszłość.

A druga kategorya? Ci już zamarli. Ich malarya zakończyła swój proces; nastąpił kryzys i zgon. Ich psychika powszechnie znana: płytka i odkryta dla wszystkich. Cechą przeciętność i wyrównanie pod jeden sznur.

Oni tworzą ogół, a ten ogół ma być miernikiem zdrowia domostwa, w które skażańcy życia wnoszą zarazę.

Przekonanie to jest absolutnie fałszem. Tamci, znękani męką życia dla przyszłości, nie mogą nic robić, to prawda. Umysły ich przepalone wiecznem ścieraniem się sił, nierównomiernie rozwiniętych, zewnątrz nie promienieją. Sam fakt nieczynności powiększa zastępy nieprzyjmujących udziału w trudzie kulturalnym, a to go opóźnia. Lecz nie należy zbyt trwożnie patrzeć na to. W całości życia ta garstka ludzi małą odgrywa rolę, i niebezpieczeństwo normalnemu rozwojowi nie z tej zagraża strony.

Przytem męka życia świadczy o ubóstwie kulturalnem teraźniejszości, o wzrastającej grozie różnych nierówności, różnych plam i niedomagań społecznych. Niemożna tedy tych ludzi traktować, jako niosących z sobą krzywdę, bo oni — cierpią i tem żyją w ruchu kultury. Są to ostatni synowie zagasającego wieku. Ból zwątpienia, niedorozwoju, niemocy pochłonął wszystko, co w tych duszach mogło pogłębiać się i olbrzymieć. Oni nic nie budują, lecz służą jako fundament przyszłości. Z ich męki powstaną ci, którzy znajdą siłę i pójdą do szturmu.

Ci drudzy daleko są szkodliwsi i na nich powinna być zwrócona uwaga tych, co szukają przyczyn zastoju i powolnego przyjmowania się wszelkiej nowej myśli na bardziej ogólnym gruncie.

Są oni zabici przez chorobę wieku; stanowią tłum statystów kultury, obojętnych na wszystko: nie męczą się oni, nie padają, lecz grzęzną odrazu i — cieszą się. Straceni dla przyszłości, czynnie opierają się robocie czasu. Tworzą ogół, który odpornie zachowuje się względem kultury, pielęgnuje przeciętność i łamie tych, którzy pracują dla przyszłości. Oni na uboczu nie cierpią i nie mrą, lecz wszędzie na każdym kroku witają uroczyście wszelką banalność i zowią się — zdrowymi. Pierwsze przeciwieństwo, pierwszy pozór przeciwieństwa odrazu zmiażdżył ich i są oni, jak owi legendarni sludzy złego ducha, niosący walkę przeciw słońcu.

Tych, którzy mają mękę w sobie, należy uważać za braci w kulturze, przeznaczonych na wymarcie przed świtem; lecz męka ich jest zwiastunem zorzy. Należy zrozumieć ten proces rzucania się przedśmiertnego, a zrozumienie zagasi wszelkie popędy nienawiści, pogardy i potępienia. Ci co się męczą — są.

Tamci drudzy, co męki nie znają i stawiają za ideał swe „zdrowie,“ są zjawiskiem ujemnem kultury, a nie wypływem pewnych jej komplikacyj. Z nimi należy walczyć. Nie zapominać o nich, a wiecznie przy każdem poczynaniu kulturalnem pamiętać. Oni są wrogami życia, oni niosą zgniliznę.

Nie męka — a zobojętnienie zabija żywotność, nie ból — a przeciętność.

br.

LISTY GALICYJSKIE.

Wybory do sejmu we Lwowie. — Kandydatura dr. Głąbińskiego. — Z działalności bycu wyborczych. — Niedomagania sejmu lwowskiego i ich przyczyny.

Wybór uzupełniający posła na sejm ze [illegible] kraju w miejsce zmarłego przed kilku miesiącami Tadeusza Romanowicza może dostarczyć nam sporo materyału do charakterystyki życia publicznego Galicyi. Już sam fakt, że na 15,000, uprawnionych do głosowania wyborców, do urny stawiło się zaledwie 4,200, świadczy wymownie o niesłychanie małem zainteresowaniu się ogółu sprawą tych wyborów. Bo i z jakiej racyi wyborcy lwowscy mają się interesować wyborami? Czy, ten czy ów kandydat zostanie wybrany, czy ta, czy owe koterya albo klika zwycięży — rezultat będzie ten sam: nowoobrany poseł wejdzie do sejmu, w którym, przy najwybitniejszych zdolnościach osobistych, przy najlepszych nawet chęciach, będzie musiał zostać pionkiem w ręku wrogiej interesom kraju większości i nie potrafi nic zrobić. To też po za szczupłem gronem „macherów“ politycznych, stojących na usługach rozmaitych klik i kliczek, nikt, wyborów nie traktuje na seryo. Te szerokie warstwy ludności, które najbardziej interesują się sprawami politycznemi, które, wprowadziwszy do sejmu swego reprezentanta, mogłyby jednocześnie wlać nowe życie w to ciało ustawodawcze — te właśnie warstwy są od udziału w wyborach najzupełniej usunięte. Austryacki parlament dał im już prawo zabierania głosu w sprawach ich obchodzących, polski sejm galicyjski nie chce nawet o nich słyszeć. Wobec tego, zamiast reprezentantów ludu, z miast galicyjskich idą do sejmu przedstawiciele klik i kliczek, zaściankowych ambicyi i zaściankowej korupcyi.

We Lwowie stanęło przeciwko sobie dwóch kandydatów — dr. Dylewski i dr. Głąbiński. Dr. Dylewski, były prokurator w Czerniowcach, obecnie wiceprezes wyższego sądu i sodalis maryański jest zupełnem zerem pod względem politycznym. Nie wiadomo nawet, jakie ma przekonania, bo nie raczył wcale przedstawić się wyborcom na zgromadzeniu publicznem, ponieważ, jak twierdził popierający go gadzinowy *Dziennik Polski* — stawać przed wyborcami „człowiekowi, posiadającemu tak wysoką godność państwową i sędziowską, byłoby zaiste lekkomyślnością nie do darowania.“ Drugi kandydat dr.

Głąbiński — jest człowiekiem szeroko znanym, ale co reprezentuje w życiu polityczne, tegoby nikt ściśle i dokładnie określić nie potrafił. Dr. Głąbinski jest kandydatem, jak najusilniej popieranym przez narodowo-demokratyczne *Słowo Polskie*, przypuszczaćby więc można, że jest demokrata narodowym. Tego jednak dr. Głąbiński wypiera się uroczyście przy kazdej sposobności. Nie jest on kandydatem narodowo-demokratycznym, tylko narodowym *i* demokratycznym. To *i* ma oczyścić dr. Głąbińskiego w oczach konserwatystów ze wszelkich podejrzeń o konszachty z tajemniczą organizacyą, stojącą po za *Słowem Polskiem*, a dotychczas tradycyjnie uważaną za... rewolucyjną bezmała — naturalnie tylko w kołach konserwatywnych. Bo dr. Głąbiński, używający chętnie miana „demokraty,“ żyje w jaknajlepszej komitywie z konserwatystami, jest zwolennikiem nietylko Koła polskiego, ale i „komitetu centralnego do rozbojów wyborczych.“ Perorując na temat uprzemysłowienia kraju, dr. Głąbinski popiera jednocześnie politykę agraryuszów i sprzeciwia się otwarciu granicy rumuńskiej, coby spowodowało spadek cen mięsa. Demokrata Głąbinski jest naturalnie przeciwko powszechnemu głosowaniu, za odebraniem robotnikom prawa koalicyi i za szkołą wyznaniową. Jednem słowem, pomimo uroczystego wyrzekania się należenia do demokracyi narodowej, dr. Głąbiński jest typowym demokratą narodowym. Tylko że po za tem jeszcze typowym karyerowiczem politycznym, który gotów iść pod każdym sztandarem, byle dojść tam, gdzie zmierza. Dziś uważa *Słowo Polskie* i zgrupowane dokoła tego pisma grono ludzi za najodpowiedniejszą dla siebie oporę. Jutro kogoś innego, bo się niczem zresztą nie brzydzi.

Nie brzydzi się oczywiście i „galicyjskiemi formami korupcyi wyborczej. Cała armia t. zw. popularnie „hyen wyborczych,“ pod wodzą niejakiego Zohlera, została w ruch puszczona w celu ułatwienia zwycięztwa kandydatowi narodowo-demokratycznego *Słowa Polskiego*. Ponieważ udział wyborców był bardzo słaby, przeto zwolennicy dr. Głąbińskiego w magistracie posiadali wielkie zapasy niedoręczonych legitymacyj wyborczych, w które zaopatrywano hyeny wyborczy — i te szły z niemi do głosowania — nieraz po kilka i nawet kilkanaście razy. Cały szereg takich wyborców został przyłapany na gorącym uczynku i odpędzony od urny. Specyalnych nadużyć dopuszczano się z kartami kobiecemi. Kobiety posiadają w Galicyi prawo wyborcze (czynne) do sejmu, ale same nie mogą głosować, lecz muszą wysyłać zastępców. Otóż hyeny wyborcze wyłudzają zwykle te pełnomocnictwa kobiece i idą głosować w charakterze zastępców. Za dr. Głąbińskim tacy „zastępcy“ głosowali w najbezczelniejszy sposób. Pewnego urzędnika magistratu przyłapano, kiedy szedł głosować po raz trzeci z pełnomocnictwa kobiety — na ten raz właścicielki domu publicznego.

W *Głosie Robotniczym* został zamieszczony list p. Ornsteina, który przypadkowo był świadkiem naocznym oszustw wyborczych, popełnionych przez dr. Głąbińskiego. Wszedł on mianowicie do lokalu stowarzyszenia „Jad Charuzim“ w chwili, gdy hyeny wyborcze zgłosiły się po zapłatę za głosowanie za pomocą cudzych legitymacyj. Pieniądze wypłacali: Kauf, urzędnik kahału, Rewicz — majster blacharski i Kroch, majster malarski. Hyeny wyborcze zdawały relacyę ze swej czynności i targowały się, gdy który z nich otrzymał zamało pieniędzy. Kroch, Rewicz i Fraenkiel mieli po kilkaset legitymacyj, z którymi posyłali do głosowania owe hyeny. Rewicz np. wysyłał pewnego kelnera, bez zajęcia, *dziewięć* razy. Oprócz tego jeszcze dwóch kelnerów bez zajęcia głosowało kilkanaście razy z cudzemi legitymacyami. Woźny kahału Atlas głosował 12 razy, woźny Willner kilkanaście. Hyenom wyborczym wypłacono po 8, 5, 3 i 2 korony. Jedna z nich oświadczyła na rynku, że p. Ohly, sekretarz izby rękodzielniczej, namówił ją do kupowania legitymacyj i obiecał za to dać 15 centów od sztuki. Kiedy przedstawiono mu je, odmówił zapłaty, gdyż już nie były mu potrzebne.

W ciekawy sposób zdobywano legitymacye żydowskie. Woźnym magistrackim polecono doręczać je właścicielom podczas nabożeństwa w synagogach. W ten to sposób legitymacye powracały do magistratu jako nieodebrane z powodu nieobecności właścicieli — i służyły potem do uświetnienia zwycięstwa kandydata narodowego *i* demokratycznego.

Zwolennicy dr. Głąbińskiego mogą się pocieszać, że gdyby nawet odpadło tych kilka setek głosów, jakie zdobył ich kandydat przy współudziale hyen wyborczych to i tak „wschodniogalicyjski uczony“ zostałby wybrany, gdyż p. Dylewski był niedość poważnym kontrakandydatem. Przyozdobi więc dr. Głąbiński sejm lwowski i prawdopodobnie będzie w nim jednym z wymowniejszych rzeczników — niewiadomo tylko czego... Zapewne zostanie on przedstawicielem tej... „skromnej, łagodnej, w tonie przyzwoitej opozycyi polskiej“, o której z niekłamanem uznaniem mówi skrajny reakcyonista Bobrzyński w ostatnim zeszycie *Przeglądu Polskiego*.

Były wiceprezydent Rady szkolnej, krajowej zastanawia się nad niedomaganiami sejmu galicyjskiego i proponuje środki zaradcze na jego anemię. Sejm galicyjski nie ma nigdy czasu nietylko na wyczerpanie porządku dziennego, ale nawet na głębsze przedyskutowanie spraw, nieraz doniosłych i zasadniczych, na poprawne zredagowanie ustaw. Nie pochodzi to z krótkości czasu, przeznaczonego na sesyę sejmową, ale z powodu uchwalania niezliczonych rezolucyj i imperatywów pod adresem Koła polskiego, Wydziału krajowego i rządu, z powodu zarzucania sejmu interpelacyami i wnioskami, wreszcie z przyczyny rozdrabniania obrad na całe mnóstwo komisyj, z których jedne są przeładowane materyałem, inne zaś bezczynne. Takie jest zdanie Bobrzyńskiego. Wychodząc z tego stanowiska, wybitny ten konserwatysta domaga się ograniczenia czasu dla stawiania wniosków do dwóch pierwszych tygodni trwania sesyi sejmowej, skrócenia posiedzeń do 5—6 godzin, zaprowadzenia dni wolnych od obrad i wogóle lepszego, normalnego ich rozkładu, zreformowania „porządku dziennego“ i techniki załatwiania spraw administracyjnych itd.

Liberalna *Nowa Reforma*, polemizując z Bobrzyńskim, wykazuje całkiem inne przyczyny niedomagań sejmu. Sejm użala się na krótkość sesyi, a tymczasem posiedzenia bywają zamykane przedwcześnie z powodu braku kompletu. Sejm próżnuje po kilka dni z rzędu, bo komisye nie dostarczają mu materyału. Wreszcie obrady toczą się, nawet zapadają uchwały bez kompletu przepisanego. Na pierwszem posiedzeniu izba sejmowa zapełnia się przyzwoicie, ale już na drugiem ławy świecą pustkami. Hamulcem sejmowym są właśnie ci posłowie konserwatywni, co mandaty swoje mają do zawdzięczenia nadużyciom, następnie dygnitarze, bo i ci i drudzy rzadkimi są gośćmi w sejmie. W końcu *Nowa Reforma* podnosi fakt, że obóz konserwatywno rządowy, co narzuca sejmowi posłów leniwych i lekkomyślnych, co uszczęśliwia nas dygnitarzami, nieprzykładającymi ręki do codziennej, ciężkiej pracy sejmowej — coraz mniej daje posłów zdolnych, mających wykształcenie i kwalifikacye na ustawodawców.

I konserwatysta i liberał zapominają tu świadomie o podstawowej przyczynie niedomagań sejmowych, mianowicie o ordynacyi wyborczej, uniemożliwiającej wejście do sejmu posłom, reprezentującym olbrzymi odłam ludności. Wejście do sejmu bodaj kilku opozycyonistów — nie tych „skromnych, łagodnych, w tonie przyzwoitych,“ ale prawdziwych, bezwzględnych, namiętnych trybunów ludowych wprowadziłoby całkiem inną atmosferę, zmusiłoby opieszałych albo do pracy, albo do ustąpienia, uczyniłoby sejm tem, czem być powinien.

Daleki.

Przebaczanie i usprawiedliwianie.

Czy filozofia nie podoba się Polakowi, czy Polak filozofii — dość, że w tym związku ani miłości, ani nawet głębokiego szacunku nigdy nie było. Co najwyżej konwencyonalna grzeczność. Natomiast stosunek ze sztuką był zawsze serdeczny i trwały. Jak oni się kochają, jak on jest wspaniały i dzielny a ona czarująca! Kiedy Polak wejdzie na Parnas, wszystkie muzy klaszczą w ręce z radości. Ale wiedza, a zwłaszcza filozofia... zgrzyta na niego zębami. Przeczytajcie pierwszy lepszy artykuł w naszej prasie: jego forma będzie prawie zawsze staranna, jeśli nie wytworna, ale przedmiotowość zaprawiona fantazyą, a wątek logiczny potargany uczuciem. Nieraz zdaje się, że patrzysz na sztuki magika, który wyjmuje komuś z nosa zwój wstążki, a z kapelusza męzkiego pieluchy. Rozumowo sądząc, nikt nie ma w nosie wstążek a w kapeluszu pieluch, a jednakże widzisz na własne oczy, że są.

P. J. Toporski napisał w *Tygodniku ilustrowanym* artykuł p. t. „Wszystko przebaczyć!“ Ale nie usprawiedliwić! — dodaje. Bo „przebaczenie to tylko uznanie psychologicznej, wewnętrznej konsekwencyi pobudek, które doprowadziły do przestępstwa,“ a „usprawiedliwienie (złego czynu) — to zaprzeczenie jego charakteru zła, to uznanie go za zgodny z prawem, to jego uprawnienie.“ Strach, co to za filozofia! Przebaczeniem ma być „uznanie wewnętrznej konsekwencyi pobudek...“ A dlaczegóż to nie nazywa się usprawiedliwieniem? Jeżeli dowiodę, że pewien czyn jest skutkiem psychologicznej konieczności, to chyba go usprawiedliwiam, spełniam akt rozumu. Przeciwnie, przebaczenie jest objawem miłosierdzia, aktem uczucia, spełnionym nawet przez tych, którzy o „wewnętrznej konsekwencyi pobudek“ nie mają najmniejszego pojęcia. Szan. autor ujawnił tak zacną chęć rozjaśnienia ciemnej komórki w naszych głowach, że powinniśmy mu nawzajem pomódz do oświecenia własnej. A więc myli on się, zalecając nam przebaczać, a nie pozwalając usprawiedliwiać. Bo właśnie należy czynić odwrotnie. Teorya determinizmu, która dotąd nie przeniknęła tylko do bardzo twardych mózgów, uczy, że każda wola składa się z łańcucha ściśle związanych z sobą motywów, że zatem każdy czyn jest wynikiem koniecznym — czyli — psychologicznie usprawiedliwionym. Ale nie należy mieszać usprawiedliwienia psychologicznego ze społecznem. Chociaż uznajemy, że jakiś zły czyn został zrodzony przez wewnętrzną konieczność, mimo to uważamy go zewnętrznie za szkodliwy i staramy się obezwładnić (czy też karać) jego sprawcę i udaremnić lub ograniczyć jego następstwa. Usprawiedliwiamy psa wściekłego, a jednakże zabijamy go. Dąbskiemu, który niedawno w obłędzie nastrzelał ludzi, nie przebaczono, lecz osadzono go w szpitalu dla waryatów. Kiedyś, kiedyś taka kara spotykać będzie wszystkich przestępców, dziś niektórzy z nich idą jeszcze do wię-

zień, bo dotąd panuje w prawodawstwie zasada przebaczania i nieprzebaczania, zamiast usprawiedliwiania.

Ostatni ten wyraz nie powinien wytwarzać dwuznaczności, którą wyzyskał dla swego wywodu p. Toporski. Mówiąc o usprawiedliwieniu, nie myślimy wcale o zdejmowaniu ze zbrodni złego piętna, lecz *tłomaczymy* jej pochodzenie. Jeżeli np. usprawiedliwiamy kradzież głodem, to wcale nie znaczy, ażebyśmy ją uważali za dobrą, tylko wskazujemy jej przyczynę.

Na rozgrzeszanie występku sercem zdobywają się niewątpliwie dusze szlachetne, wszakże w budowie życia nie chodzi o kilka cennych filarów, lecz o główne podwaliny. Innemi słowy, nie o to chodzi, ażeby winnym przebaczały wyjątki, lecz aby starali się ich zrozumieć i wytłomaczyć — wszyscy.

Go—on.

MIĘDZYNARODOWY KONGRES WOLNO-MYŚLICIELI.

Dnia 20 września odbyło się w Rzymie uroczyste otwarcie kongresu wolnej myśli, której przedstawiciele różnej narodowości zebrali się w celu obrad w liczbie 5,000 delegatów. Obecni byli Haeckel, Buisson, słynny sędzia Magnaud, Lombroso, Salmeron z Hiszpanii, Nowikow, Björnson i wiele innych znakomitości. Uczony francuski, Marceli Berthelot, nie mogąc przybyć, nadesłał list następującej treści, który został publicznie odczytany przez Buissona:

„Kongres wolnej myśli w Rzymie jest znamieniem czasu, gdyż Rzym więcej niż przez lat pięćset był centrem ucisku wiedzy i myśli. Tu się znajdowało to przez Apokalipsę zapowiedziane źródło otchłanne, z którego wyszły zapowietrzone wyziewy zabobonu, fanatyzmu i inkwizycyi.

Opierając się na licznej armii zakonników i bractw religijnych, wystąpiła ona z uroszczeniami zagarnięcia ludzkości pod podwójną władzę: duchowną i świecką. Już w naszych czasach jakiś dominikanin domagał się z kazalnicy w Paryżu zdobycia siłą władzy świeckiej. Włochy ucierpiały, być może najbardziej ze wszystkich narodów średniowiecza, wskutek tych pretensyj Kościoła, a w czasach nowoczesnych jeszcze więcej, gdy w okresie Odrodzenia rozwój myśli i wiedzy w samym zarodku zduszony został przez papiestwo. Jeszcze nie zagasła łuna stosu Giordana Brunona, proces Galileusza nie zostanie nigdy zapomniany, gdyż był uroczystem potępieniem nauki w imię dogmatu i Pisma Świętego. I w Rzymie po raz pierwszy ucisk klerykalizmu zniesiony został wtedy, gdy Włosi wzięli w posiadanie swą stolicę. Więc zebraliśmy się tu dziś w sprawiedliwym, godnym a dla ludzkości zbawczym celu oznajmienia światu o rozwoju ducha nowoczesnego, o tryumfie nowej społeczności, dla której najwyższą powagą jest niezależność przekonań i niezbite twierdzenia nauki. Chorągiew z tym napisem zatykamy w obliczu Watykanu, siedliska nieomylności papieskiej.

Zachowajmy przytem jednak ten spokój, łagodność i pogodę, które przystoją naszemu rzetelnemu umiłowaniu prawdy. Głos nauki nie może być głosem przemocy, a tembardziej doktryny. Pomimo wielolicznych przestępstw ludzkich nie powinniśmy zapominać o dobrodziejstwach, jakie kultura chrześciańska dała światu. W dziejach rozwoju ludzkości stanowi ona okres cywilizacyi całkiem już ukończony. Nie odpowiadałoby to naszym zasadom podstawowym, gdybyśmy dawnych naszych ciemiężycieli teraz z kolei uciskać chcieli, jeśli oni, trwając przy swych wierzeniach z przeszłości, nie będą jednak usiłowali narzucić nam ich. My winniśmy przedewszystkiem postanowić i w wykonanie wprowadzić, aby duchowi wsteczniętwa odebrano świeckie kierownictwo państwowe, a nadewszystko panowanie nad sumieniami, nauczanie ludu i udział w sprawach solidarności społecznej. Zapewne, my nie zamierzamy, jak prorok, który zstąpił z Synai, wrogów naszych wygubić i nowe prawo ogłosić. Nauka, którą zapowiadamy, wynika z nowego ducha tolerancyi, opiera się, powtarzam, na wolności myśli i dokładnej znajomości praw przyrody. Nie mieszajmy tej metody z fałszywą nauką, która wnioski swe stawia *a priori*, z scholastyką pozbawioną wszelkiej prawdziwości. Nauka, którą my przedstawiamy, dostarcza nam swoich pewników na wszystkich polach — gospodarczem, politycznem, wojskowem, pedagogicznem, a nadewszystko moralnem, opierając się wyłącznie na prawie, które zostało udowodnione *a posteriori*, drogą obserwacyi i doświadczeń przez uczonych wszelkiego rodzaju: fizyków i mechaników, zarówno jak historyków i ekonomistów, chemików, doktorów medycyny, badaczów przyrody oraz psychologów i socyologów.

Dla ułatwienia dyskusyi, która na pełnych zebraniach, z powodu nieoczekiwanie licznego zjazdu, prowadzona być nie mogła, kongres podzielił się na sześć sekcyj: międzynarodowego prawa publicznego, prawa narodowego, nauczania, opieki społecznej, misyj religijnych, organizacyi i propagandy, nauki i dogmatu.

Z dalszych przemówień zanotować wypada słowa deputowanego francuskiego, Hubbarda, o stosunku państwa i Kościoła w starożytności, średnich wiekach i w czasie obecnym, w których wyraził on gorący protest przeciw uroszczeniom papieża do władzy świeckiej, do panowania nad jakąkolwiek cząstką ziemi włoskiej, nazywając to ostatnie pogwałceniom niezależności zjednoczonej Italii.

Anglik William Haeford przedstawił szkodliwość działalności towarzystw misyjnych, a nadewszystko rolę misyj w wojnach kolonialnych, domagając się zastąpienia ich przez misyonarzy świeckich.

Hiszpan Pozano dał zebranym obraz zgubnego wpływu papiestwa na jego ojczyznę, a Hiszpanka Belene Sarrago z Malagi odmalowała smutne rezultaty wychowywania kobiet hiszpańskich w fanatyzmie religijnym.

Profesor Buisson wypowiedział głębokie słowa: że niedość jest pragnąć postępu i przyzywać go, trzeba umieć i chcieć dla niego pracować; że zwycięztwo wolnej myśli wtedy tylko będzie możliwe, jeśli się je oprze na rozumnej pieczy o wychowanie ludu, wykształcenie jego umysłu i charakteru. Istotnem zadaniem wolnej myśli jest propaganda rozumu i jego dostojeństwa.

„Starajmy się, aby lud nie grzęznął w ciemnocie, aby z lenistwa, gnuśności lub przygnieciony zbyt wielką pracą nie stronił od nauki i zajęć umysłowych; uczyńmy wszelki zabobon niemożliwym przez rozszerzenie znajomości praw natury, wskazanie za cel życia takiej działalności człowiekowi, która doprowadzi do urzeczywistnienia sprawiedliwości na ziemi.“

Zakończył wyrzeczeniem, że myśl wolna nie jest doktryną, tylko metodą, sztuką kierowania własnemi myślami, a co za tem idzie i czynami na każdem polu życia umysłowego i społecznego.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK

Jeszcze jeden.

Do Posadowskych, Podbielskych przyłączył się obecnie Lichnowsky. Kto zacz? Był czemś w pruskiem ministeryum spraw zagranicznych, teraz kupił sobie dobra na Śląsku i z tego nowego stanowiska cisnął piorun w ludność polską, która dotąd się nie zniemczyła. Jednym życzliwie radzi, drugim grozi, ażeby co prędzej — jak jego przodkowie — zrzucili skórę przyrodzoną i oblekli się w nową, germańską, bo w przeciwnym razie... No, wiadomo, co kulturträgerzy robią w przeciwnym razie z *einer minderwertigen und aussterbenden Nationalität*. Wszystkie te z wysoka i z niska spadające paskudztwa nie rozstrzygają nam jednego pytania: dlaczego pp. Posadowsky, Podbielsky, Lichnowsky itp., którzy tak namawiają Polaków do sprusaczenia się i tak skwapliwie przemieniają *Inowrocław* na *Hohensalza*, nie pozbędą się bodaj końcówek ze swych nazwisk? Byłby z tego dwojaki pożytek: naprzód starliby z siebie ostatni ślad swego pochodzenia, a powtóre uniknęliby zarzutu, ze objawiają nadmierną gorliwość, jako mechesi polityczni.

y.

Późna zmiana.

P. Bolesław Wilczyński, który przez 20 lat wykładał w Instytucie muzycznym estetykę, otrzymał dymisyę, a na jego miejsce powołany został p. R. Statkowski, twórca opery „Filenis.“ Czy nowy nauczyciel sprosta zadaniu, nie wiemy, ale wiemy, że dawny zbyt późno ustąpił. Kto miał w ręku jego kurs „historyi muzyki,“ zaciemniony pustą lub mętną frazeologią podręcznik obcy w nieszczęśliwej przeróbce, ten zrozumie, ile to chaosu zrobiła przez lat 20 w nieukształconych głowach taka „nauka.“ Jest duże prawdopodobieństwo, że p. W. sam nie rozumiał tego, co pisał o muzyce, ale już nie ulega żadnej wątpliwości, że go — wiemy to zresztą od nich — nie rozumieli uczniowie i uczennice. Kupowali i „wykuwali“ zeszyty mechanicznie. Dziwi nas przytem bardzo, że dyrekcya, postanowiwszy zmienić profesora estetyki, nie skorzystała z tak dobrej i gotowej siły, jaką jest p. A. Sygietyński, który był na to stanowisko wskazany.

o.

„Astronom.“

Dyalog w korespondencyi *Gazety Polskiej*:

„— Nie znam Tatr, niestety... Pragnę je poznać... Byłbym moją rodzinę niezawodnie wysłał do Zakopanego na pobyt letni, lecz trudności komunikacyi... Wkrótce będzie kolej żelazna zbudowana.“

Zrobiono mu uwagę, że kolej już od dwóch lat jest w ruchu.

Na to on:

„— My, dyplomaci, zapatrzeni, jak astronomowie w wyższe regiony, mniej zważamy, co jest przed nami. Nie wiedziałem — doprawdy. Koleje — dodał — nie należą do mojego wydziału.“

Wiecie, jak się nazywa ten „astronom“? Austryacki minister spraw zewnętrznych, hr. Gołuchowski! Przyznajmy, że się pięknie uchował w swej niewinności. Bo przecie, jeśli się nie dowiedział o kolei do Zakopanego jako człowiek inteligentny, to mógł się był dowiedzieć jako Austryak, jako minister, wreszcie jako Galicyanin. Tymczasem żadną drogą ta nowina do niego się nie dostała. Nie dosyć tego cudu, bo stał się zarazem drugi. Mianowicie, skąd hr. Gołuchowski poczerpnął informacyę, że „*wkrótce* ma być zbudowana“ ta kolej, która od dwóch lat istnieje? To już całkiem niezrozumiała „astronomia.“

h.

Niespodzianka.

H. Sienkiewicz, mówiąc w *Będrowcu* o F. Kostrzewskim, napisał:

„Henryk VIII powiedział pewnemu lordowi, odgrażającemu się na Holbeina:

— Ani się waż mu grozić, bo wiedz o tem, że z dziesięciu chłopów zrobię, jak zechcę, dziesięciu lordów, a z dziesięciu lordów nie zrobię jednego Holbeina.“

Podniesienie zapomocą tej anegdoty dostojeństwa duchowego w przeciwstawieniu do dekoracyj zewnętrznych jest ze strony autora *Quo vadis* bardzo sympatycznem. Ukazuje ono nam go bowiem jako radykalnego demokratę, który lekceważy „lordów“ a czci „Holbeinów,“ który przypomina, że pierwszych można narobić dowoli z byle chłopów, a drudzy przychodzą na świat ze swą wielkością. Nie znamy prywatnego życia H. Sienkiewicza, ale wnosząc z tego odezwania się, musi on rzetelnie gardzić utytułowaną marnotą i unikać bliższych z nią stosunków. I ktoby się tego był spodziewał!.. *d.*

Dzień w Frascati.

Warszawskie Tow. dobroczynności urządziło w Frascati wystawę robót wychowanek szwalni i wychowańców sal zajęć Towarzystwa. Wiemy, że dzieci tylko do lat 7 mogą się znajdować w ochronach, a potem powinny iść do szkoły. Szkół tych mamy jednak zamało, ażeby pomieścić w nich wszystką dziatwę, potrzebującą nauki, za którą w dodatku płacić trzeba. Nic więc dziwnego, że tak dużo starszych dzieci wałęsa się bezczynnie po ulicy, gra zawzięcie w guziki i w inny, mniej niewinny sposób czas sobie zapełnia. Część ich jednak, około 12 tysięcy, została przygarnięta przez powyższe zakłady, skąd prócz pewnego zasobu uzdolnienia praktycznego wynieść powinna niektóre nawyknienia moralne, jakąś kulturę duszy i ciała. Co zdołały już zrobić dla ubogiej dziatwy warszawskiej te instytucye, dała nam wyobrażenie wystawa — bardzo coprawda powierzchowna. Pośpiech, brak organizacyi przebija się we wszystkiem; niemniej i z tego naprędce urządzonego pokazu rzuca się w oczy przedewszystkiem wartość materyału, jaki ludziom, tu pracującym, dostał się w ręce. Z tych dzieci stanowczo bardzo dużo zrobić można i to bez nadzwyczajnych wysiłków. Proszę przyjrzeć się robótkom dziewczat, rozłożonym w gablotach, ile tu kunsztu i zręczności; inna rzecz, czy zupełnie pożytecznie skierowanej — o działalności szwalni pisało się zresztą już dosyć. A roboty chłopców, to pierwsze kroki na drodze do jakiegoś zawodu, słabe jeszcze zapewne, lecz świadczące o rozbudzonej i celowo skierowanej myśli. Dla wielu z nich z pewnością lata, w salach zajęć spędzone, nie będą wyrzucone na marne. Zdolne, pojętne dzieci, tylko im trzeba stałej, nie dorywczej tresury moralnej i fizycznej, ażeby zgodność i karność, z jaką wykonywały ćwiczenia gimnastyczne, przeszła im w nawyknienie życiowe, w treść ich duszy, wytworzyła najwyższą wartość społeczną — kulturę. A o tem właśnie powinni pamiętać ci wszyscy, co bezpośrednio z dziećmi się stykają. Bo oto posłuchajmy, jak bywa: na plac, gdzie się odbywa gimnastyka, przybyła spora gromadka dziewczątek z jakiejś ochrony pod opieką ochroniarki. Plac był otoczony zwartem kołem patrzących, którzy naturalnie dzieciom widok na ćwiczenia zasłaniali. Jakże więc sobie poradziły? Nauczycielka zakomenderowała wejście na wał— w najlepszej chęci sprawienia dzieciom przyjemności, lecz nie zwróciła uwagi na to, że wał był porośnięty krótko ciętymi krzewami, których dziatwa oczywiście nie oszczędzała; aż trzask łamanych gałęzi zwabił jednego z panów i ten też zabawie koniec położył. Tak więc — zaczęliśmy, ale do końca jeszcze nam daleko! *wc.*

Okrucieństwa.

Złe obejście się ze zwierzętami, to zwykłe u nas zjawisko. Zresztą nie mogą być dobrymi dla nich ludzie, którzy dla siebie samych są często niemiłosiernie okrutni. We wszystkich stosunkach życiowych pomimo wyrafinowania wierzchniej warstwy częstem jest jeszcze zjawisko niesprawiedliwości ślepo i bezmyślnie zadającej ból i cierpienie. Niedawno pisma codzienne w licznym szeregu różnych zdarzeń zaregestrowały fakt pobicia aż do śmierci pastucha przez włościanina, któremu wskutek niedopatrzenia chłopaka bydło weszło w szkodę. Rzecz zwykła, każdy powie—brak oświaty, nic więcej. Lecz fakt ten przypomina inne nasze stosunki „sielskie.“ Nietylko ci, o których mówi się stale, że kultury nie mają, mszczą się w ten sposób za uszkodzenie swojej własności. Bywały i bywają wypadki takiego samego zachowania się rozmaitych dziedziców i dziedziczek wobec naruszenia ich własności. „Bicie w mordę“ niestety i dzisiaj kwitnie tak w mieście, jak i na wsi; niektórzy synowie lub krewni różnych obywateli i obywatelek uprzyjemniają sobie w ten sposób pobyt na wsi. Zdarzały się nawet wstrząsające wypadki. „Samo się przez się rozumie,“ że inteligenci potrafili postarać się o zatarcie śladów, świadectwa lekarzy itd. Fakt jednak pozostał faktem. Mówię tu naturalnie o okrucieństwie świadomem, bardziej uderzającem. Po za niem istnieje cały szereg cichych, na pierwszy rzut oka niewidocznych, do których się przywyka i uważa za konieczne i — celowe.

Co mówią fakty pierwszej kategoryi? Po za specyalnie do jednostki przywiązanemi skłonnościami i porywami, świadczą one dość wymownie o kulturze ogólnej. Ludzie dają się unieść gniewowi— to prawda; lecz prawdziwa kultura, polegająca na wszechstronnem wysubtelnieniu, kształtuje tak duszę ludzką, że ona zawsze i w każdej okoliczności życia umie zachować swe dostojeństwo: dziś my, niestety, od tej kultury jesteśmy jeszcze dalecy. Myślą sięgamy już w przyszłość, lecz uczuciem, tem ogólnem tłem naszej duszy, jesteśmy barbarzyńcami, tylko na tyle ucywilizowanymi, że obawiamy się kary; po za tem skorzy jesteśmy do zapomnienia o wszelkich hasłach i ideałach, kiedy zadraśnione zostanie w nas zwierzę gniewu. Przy obławie wszelkiego rodzaju (można to pojęcie rozszerzyć jak najdalej) wychodzą najsilniej dzikie porywy, ujawnia się właśnie najboleśniej, że nie doroślimy jeszcze zindywidualizowaną siłą własnego ducha do tego, by w życiu zbiorowem nie zatracać przez trud kultury zdobytego człowieczeństwa. *br.*

Czytelnie.

W Warszawie istnieje sporo czytelń prywatnych. Po cukierniach pełno też czytających gazety. Zdawałoby się, że kwestya czytelnictwa jest u nas na dobrej drodze, lecz tylko zdawałoby się. Czytelnie płatne zarabiają przeważnie na beletrystyce, i to beletrystyce lekkiej; książek poważnych stosunkowo mają mało. Nowości zagranicznych sporo, lecz przeważnie są to znowu powieści drugorzędne. Rzeczy wartościowych bardzo niewiele. Właścicielki czytelń, pytane o przyczynę różnych braków, stale i słusznie odpowiadają: tego nikt nie czyta. Nie można od nich wymagać nadzwyczajnych wysiłków — one prowadzą interes i muszą główny nacisk kłaść na stronę materyalną.

Żeby jak najbardziej czarno zapatrywać się na poziom kulturalny naszego ogółu, należy zawsze przyznać, że i w tym względzie daje się zauważyć pewne polepszenie. Pragnących czytać poważnie — coraz więcej. A tu dostęp do źródeł wiedzy — książek wielce jest utrudniony. Biblioteka uniwersytecka jest otwarta w pewnych tylko godzinach, czytelnie bezpłatne zbyt są ubogie i ograniczone co do doboru książek, aby mogły zastąpić głód umysłowy tych, co przez czytanie pragną choćby tylko rozszerzyć horyzont swych myśli.

A przecież kwestya nie jest zbyt zawiłą. Weźmy Paryż np! — sporo tam czytelń dzielnicowych. Czyby i w Warszawie nie można było coś w tym rodzaju urządzić. Na początek nie trzeba chyba tak wiele książek, pewien komplet dzieł naukowych i pism, niewielki lokal, któryby był wieczorami otwarty i — nic więcej. Zbyt dużych funduszów to nie wymaga. Sądzę, że gdyby ludzie energiczni, dzielni i z zapałem wzięli się do rzeczy, mogłoby w niedługim czasie powstać parę takich czyteln. O pożytku ich nie potrzeba mówić. *z.*

Na Żydów.

Pisma codzienne w rubryce wypadków pomieściły smutną wiadomość o zaburzeniach antiżydowskich w różnych miasteczkach, mniej lub więcej oddalonych. Wypadki te nie przybrały zbyt groźnych rozmiarów, niemniej jednak należy zwrócić na nie uwagę. Naturalnie sporo znaczenia ma fakt, że zjawisko to zostało wywołane przez wpływy uboczne, że odegrały tu swą straszną rolę ciemnota i nizki poziom kultury, lecz po za tem jeszcze istnieje stała kwestya — nienawiści. Tłum jest ciemny i dlatego najłatwiej słucha podszeptów tych, którzy mu każą zabijać i nienawidzieć. Lecz czy tylko ludzie ciemni są u nas siewcami nienawiści? Od tak zwanej inteligencyi idzie owo tchnienie, które gnoi atmosferę i rodzi następnie wstrząsające swym tragizmem następstwa. Jeżeli tu kogo winić, to tych przedewszystkiem, co nie umieją otrząsnąć się z wstrętnych naleciałości i stanąć na pewnym gruncie szerokiej myśli i głębokiego ukochania, co swą apatyą i gadaniną bezmyślną podtrzymują panowanie najnędzniejszych przesądów, najgłupszych uprzedzeń, tych, którzy mogą myśleć a nie chcą. Oni są winni, że ciemne masy nawzajem się nienawidzą, oni są przyczyną wszelkich nieszczęść, wszelkich wybuchów, o których stale czytamy w gazetach. *r.*

BADANIA NAUKOWE.

Niemiec przeciwko pangermanizmowi.

Niemcy współczesne, kraj skądinąd sumienną i owocną pracę naukową nader bogaty, są widownią osobliwej epidemii umysłowej. Nie mam tu na myśli szowinizmu; tego i u nas nie brak. Specyalnie niemiecką chorobą jest *mania naukowego uzasadnienia szowinizmu.* Gdzieindziej na świecie zwycięzca mówi do zwyciężonego poprostu: „gnębię cię, bom cię zwyciężył, a zwyciężyłem cię, bom silniejszy. Jeżeli jutro ty się okażesz silniejszym, to ty mnie zwyciężysz i ty mnie będziesz gnębił. Będzie to twoje święte prawo — ale na dzisiaj ja jestem silniejszy, więc ja jestem w prawie.“ Na takie proste i logiczne postawienie kwestyi Niemcy są zbyt *moralni,* zbyt przeświadczeni o swej własnej doskonałości etycznej, aby przyznać, że naród niemiecki robi cośkolwiek z instynktu, ot, jak zwierz leśny. Jeśli nawet Niemiec żywcem pożera swego sąsiada, to należy udowodnić, że to pożeranie jest wynikiem ścisłej naukowo-etycznej kalkulacyi. Nigdzie w Europie środkowej tak się nie panoszy we wszystkich dziedzinach życia publicznego przemoc brutalna, jak w Niemczech; ale też nigdzie ta przemoc nie jest tak obłudnie wstydliwą, tak łaknącą zasłony kłamanego prawa, podrobionej sprawiedliwości. Tej potrzebie naukowego usprawiedliwienia brutalnego egoizmu narodowego i społecznego służy cała szkoła pseudonaukowych autorów, między którymi panuje wcale

sprytny podział pracy: jedni, niby nowocześnie przebrani podrabiacze herbów, dowodzą, że warstwy społecznie uprzywilejowane rekrutują się z jednostek najszlachetniejszej krwi, bo z jednostek względnie najczystszej krwi *aryjskiej*, specyalnością drugich jest dowodzenie, że naród niemiecki, jako całość, jest przedstawicielem szlachetnej *rasy aryjskiej*, a wianowicie najszlachetniejszej jej gałęzi — *germańskiej* — a przeto uprawnionym do panowania nad światem.

Niedorzeczność tych twierdzeń tendencyjnych bije w oczy. Co do odszukiwania „szlachetnej krwi aryjskiej“ w każdym dorobkiewiczu, w każdym spekulancie, który szczęśliwym trafem kończy swe życie w bogatej willi zamiast w kryminale, to na razie nie mamy potrzeby zastanawiać się nad temi bredniami. Ale i rzekome dowody antropologicznej wyższości Niemców są bezczelną blagą. Ani „rasa germańska,“ ani „rasa aryjska“ nie istnieje wcale; są to tylko dyletanckie, nienaukowe określenia *narodów, mówiących językami aryjskimi*, względnie germańskimi. Żadnej jednolitej rasy te narody nie stanowią i prawdopodobnie nigdy nie stanowiły. Cienki, wysmukły, długogłowy i jasnowłosy Duńczyk tak samo mówi germańskim językiem, jak Tyrolczyk krępy, krótko głowy i czarnooki. Te zaś języki germańskie bynajmniej nie stanowią pierwotnego rdzenia wszystkich języków aryjskich, a raczej boczną gałąź, mocno przeistoczoną przejęciem języka aryjskiego przez szczepy, którym ten język pierwotnie był obcym. Najczystszym i najpierwotniejszym ze wszystkich języków aryjskich, znanych współczesnej nauce, jest język litewski, po nim zaś następują: język staro-indyjski (sanskryt), staroperski (czyli język ksiąg Zend-Avesta), oraz narzecza górali wschodnio-irańskich, osiadłych na północnych stokach Hindu-Kuszu. Języki słowiańskie znacznie bliżej stoją typu pierwo-aryjskiego, niżli języki germańskie. A przytem narody, mówiące językami aryjskimi, pod względem antropologicznym stanowią istny kaleidoskop. Od bielutkich Szwedów aż do śniadych Ormian i ciemno-bronzowych Hindusów, od szerokich fizyognomij mieszkańców gubernii Wiackiej lub Permskiej aż do ściągłych, „końskich“ twarzy Szkotów lub Sycylian znajdują się między aryjczykami wszelkie odcienie cery, wszelkie fasony czaszek i profilów; a w Ameryce północnej miliony murzynów mówią językiem niewątpliwie aryjskim, bo po angielsku. I tych murzynów nauka uznać musi za narodowość aryjską, bo decyzya, czy ktoś jest aryjczykiem czy nie, przystoi jedynie filologii. Jest to pojęcie *lingwinstyczne*, nie *antropologiczne*. Prawda, że u licznych autorów niemieckich grasuje *fable convenue*, według której „rasą aryjską“ ma być wysmukła, długo-głowa i jasno-włosa rasa skandynawska, od której i Niemcy pochodzić mają. Ale po pierwsze ta *fable convenue* jest wręcz niezgodna z wynikami nowszych badań naukowych, bo żaden z narodów i szczepów, złożonych przeważnie z jednostek rasy skandynawskiej, nie mówi językiem aryjskim typu pierwotnego, a natomiast dość liczny odłam rasy skandynawskiej wchodzi w skład narodu fińskiego, mówiącego językiem niearyjskim. Po drugie z narodów, mówiących językami germańskimi, żaden nie składa się wyłącznie z przedstawicieli rasy skandynawskiej; są krótko-głowcy pomiędzy Szwedami, *) są w Danii całe okolice, w Norwegii całe powiaty o ludności przeważnie krótko-głowej; pośród Anglików widzimy licznych brunetów; pośród Holendrów typ krótkogłowy jest bardzo częsty, w Niemczech zaś czysty typ skandynawski tworzy niewielką mniejszość, najwyżej 10% całej ludności niemieckiej. A po trzecie, chociaż rasa skandynawska oddawna dała i wciąż daje niezbite dowody, że jest całkowicie uzdolnioną do *współdziałania* wogólno-europejskie pracy kulturalnej, to jednak rzekoma jej wrodzona wyższość nad innemi rasami europejskiemi jest niczem niedowiedzioną fikcyą. Cóż z tego, że w epoce wędrówki ludów Skandynawia na wielką skalę eksportowała hordy zdobywców, które na gruzach cywilizacyi rzymskiej rozpostarły barbarzyńskie swoje panowanie? Co innego rozbój i podbój, co innego kultura. W dziedzinie podboju jeszcze większych sztuk dokazały w swoim czasie dzikie hordy mongolskie, których panowanie sięgało od Dniepru aż po Ocean spokojny; a przecież nikt Mongołów o wyższość kulturalną nie podejrzywa. *) Dzisiaj zaś stosunkowo najczystszymi przedstawicielami rasy skandynawskiej, błędnie aryjską lub germańską zwanej, są Szwedzi; otóż niepodobna dzisiejszym Szwedom odmówić wysokiej kultury — ale jakżeż uwierzyć w jakąś *wrodzoną* wyższość narodu, który wziął alfabet od Rzymian, religię ze Wschodu, dynastyę od Francuzów, podstawy techniki przemysłowej od Anglików, a język od jakichś starodawnych plemion aryjskich, które, gdyby dziś żyły, prawdopodobnie zaliczylibyśmy do Litwinów lub Słowian? Niezaprzeczone są wysokie zasługi nowoczesnej Skandynawii na polu nauki, literatury, malarstwa, niezaprzeczonym jest fakt, że dzisiejsza Skandynawia zdrową i wysoce rozwiniętą *kulturą ludową* góruje nad całą Europą środkową, z wyjątkiem chyba jednej Szwajcaryi. Ale celowanie Skandynawców we wszystkich tych dziedzinach nie jest bynajmniej niezmiennem, odwiecznem prawem przyrody. Było kiedyś inaczej. Ale było wtedy, kiedy narody skandynawskie trwoniły swe siły na ekstensywno-rabunkową gospodarkę po obcych niwach, zamiast, jak dzisiaj, intensywnie uprawiać glebę rodzinną. Szwecya wydała Linneusza i Berzeliusza dopiero po bitwie połtawskiej, która położyła kres owej aryniekulturalnej, rozbójniczo-zaborczej polityce dawnych królów szwedzkich. Dzisiejszy rozkwit kultury norweskiej rozpoczął się dopiero w XIX wieku, a więc w czasie, kiedy bohatersko-zbójeckie awantury dawnych Wikingów norweskich już od wieków stały się były legendą zamierzchłej przeszłości. Dania zaś rozwinęła swoje wzorowe instytucye ekonomiczne i oświatowe dopiero po utracie Szlezwiku i Holsztynu.

Ale nawet gdyby teorya o wyższości rasy skandynawskiej była słuszną, ta wyższość *skandynawców* nie przemawiałaby jeszcze za imperyalizmem *niemieckim*. Na podstawie takiej wyższości (o ile wyższość ma istotnie uprawiać do podboju) możnaby do zaborczej polityki zachęcać Szwedów i Duńczyków, ale nigdy Niemców, których właśnie z punktu widzenia takiej teoryi należałoby klasyfikować, jako nędznych, zwyrodniałych mieszańców. Logiczną konsekwencyą wyższości rasy skandynawskiej byłoby raczej, że Niemcy powinni coprędzej oddać Szlezwik i Holsztyn Duńczykom, a Pomorze Szwedom, sami zaś, jak niegdyś owe ludy słowiańskie do Ruryka, wysłać deputacyę do p. Björnsona w Chrystyanii z prośbą, aby raczył zrobić u nich porządek...

Słowem, owa teorya wrodzonej wyższości skandynawców, która ma uprawniać Niemców do panowania nad światem, jest wobec pewników nauki współczesnej potwornym nonsensem. Jakim więc sposobem można dojść do takich wyników?

Oczywiście tylko drogą najdzikszej korupcyi intelektualnej: systematycznego przekręcania faktów, ustawicznego gwałcenia logiki, nałogowych kłamstw, zuchwałości wprost niebywałej, takimi też istotnie są przedstawiciele tej pseudo-naukowej szkoły apologetów pangermanizmu; takim jest i osławiony oszust Ammon, i zabawny blagier Woltmann, i najszkodliwszy z nich wszystkich szarlatan, olśniewający tłumy „wykształconych“ filistrów wykwintnym stylem i tytanicznymi rozmiarami swojej bezczelności — Anglik sprusaczony Houston Stuart Chamberlain, autor głośnych „Podstaw XIX wieku.“

Rzeczywiści, poważni uczeni niemieccy, powołani do fachowego sądu o kwestyach narodowości i rasy, jak np. świeżo zmarły geograf Ratzel, trzymają się zdala od tych szwindlów; są patryotami niemieckimi, ale faktów naukowych nie fałszują. Niestety jednak, ci prawdziwi uczeni piszą grube, systematyczne książki, których szersza publiczność nie czyta. Ta szersza publiczność lubi rzeczy lekkie, zajmujące, fejletonowe— przeto wydaną jest na łup zarazy intelektualnej, szerzonej przez pseudo-naukowych szarlatanów.

Tembardziej zasługuje na uznanie cywilna odwaga młodego autora niemieckiego, dr. Fryderyka Hertza w Wiedniu, który śmiałą ręką uderzył w to gniazdo os. Książka jego „Moderne Rassentheorien“ (Wiedeń, 1904, u C. W. Sterna) cała prawie poświęcona jest wykazywaniu sprzeczności i fałszów owych apostołów germanolatryi, przedewszystkiem Stuarta Chamberlaina. Jakkolwiek z zawodu ekonomista, dr. Hertz z podziwu godną pracowitością zaznajomił z nas obszernym i zawiłym tematem swojej książki, która też przedewszystkiem stała się ciekawą, jako krytyczne zestawienie ogromnej masy faktów. W niektórych rozdziałach autor od tego zestawiania i wykazywania sprzeczności podnosi się do kreślenia własnych teoryj, najczęściej, chciaż niezawsze, trafnych.

II.

Treść książki dr. Hertza przedstawia się tak bogato, że wobec tego zadanie recenzenta nie jest bynajmniej łatwem. Ograniczę się więc do dorywczego oświetlenia niektórych, szczególnie ciekawych jej rysów, odsyłając czytelnika do samej książki.

Zwalczani przez Hertza „teoretycy ras“ powołują się stale na szwajcarskiego antropologa Kollmanna, który rzekomo dowiódł, że rasy są niezmienne. Hertz, dochodząc do samego źródła, wykazuje, że rzeczywiste twierdzenia Kollmanna zgoła nie popierają też Chamberlaina i innych. Kollmann twierdzi, że od czasów dyluwialnych właściwe *cechy rasowe* różnych ras ludzkich pozostały niezmienione. Ale do tych „cech rasowych“ zalicza Kollmann wyłącznie cechy dość obojętne dla rozwoju kultury, jak proporcye szkieletu, cerę itd. Natomiast cały szereg innych, pod względem funkcyonalnym o wiele ważniejszych, jak ilościowy rozwój muskułów i kości, wielkość klatki piersiowej itd. zalicza do *cech zmiennych*, podlegających wpływowi środowiska; przyznaje nawet, że może i płodność, odporność przeciw chorobom, zdolności aklimatyzacyjne, tudzież umysłowe należy zaliczyć do cech zmiennych. Prócz tego Kollmann wyraźnie i niejednokrotnie zaznaczył, *że uważa wszystkie rasy europejskie za równouzdolnione do kultury*. Nawiasem mówiąc, i owym „cechom rasowym“ Kollmann bynajmniej nie przypisuje niezmienności bezwzględnej i wiecznej; stwierdza tylko, że się nie zmieniły od czasów dyluwialnych, ale, wierząc zgodnie z Darwinem w ewolucyę gatunków, przypuszcza, że w historyi form organicznych istnieją epoki równowagi naprzemian *z epokami spotęgowanej zmienności*. Teorya Kollmanna godzi się więc w zasadzie ze znaną

*) Według badań dr. Nyströma, krótko-głowcy ci są liczniejsi pośród inteligencyi szwedzkiej, niż pośród prostego ludu.

*) Mówię o Mongołach właściwych, nie zaś o t. zw. rasie mongolskiej w szerokiem, aż zbyt szerokiem znaczeniu, w jakiem wyraz ten jest używany.

„teoryą mutacyi“ holenderskiego botanika de Vries — teoryą dążącą do konkluzyi, ze przemiana jakiejś formy organicznej na zasadniczo różną od pierwotnej może się odbyć *w daleko krótszym czasie*, niż to przypuszczał Darwin. A zatem modni w Niemczech „teoretycy ras,“ przeciwstawiający odwiecznie szlachetnej rasie germańskiej pozostałe rasy ludzkie, jako skazane na wieczną niższość, musieli grubo przekręcić myśli Kollmanna, aby ich użyć dla swych celów.

Zresztą Hertz i przeciwko temu, co Kollmann rzeczywiście twierdzi, podnosi bardzo słuszne zarzuty. Mierzenia, wykonane przez fachowców, jak Schwalbe, na przedhistorycznych czaszkach z Neanderthal i z belgijskiej miejscowości Spy, dowodzą, że ludzie, do których te długie, ale wązkie i nizkie czaszki należały, byli okazami gatunku różnego od dzisiejszej ludzkości i wyraźnie niższego od niej. Z drugiej strony stwierdzono, że u potomków owych osadników holenderskich i angielskich, którzy w XVII wieku przybyli do Ameryki Północnej, wytworzył się typ fizyczny, odmienny od europejskiego, a mocno zbliżony do typu Indyan — i to bez śladu krzyżowania krwi: więc ziemia i klimat odtwarzają sobie *swoją* rasę. Jeżeli u murzynów amerykańskich nie spostrzeżono dotąd równie doniosłych zmian (choć ich cera widocznie blednieje), to prawdopodobnie dlatego, że za czasów niewolnictwa murzyni, gnębieni z nieludzką okrutnością, bardzo słabo się rozmnażali, tak że trzeba było sprowadzać coraz nowych przybyszów z Afryki; dzisiejsi murzyni amerykańscy pochodzą więc przeważnie od niewolników, sprowadzonych z Afryki zaledwie jakie sześćdziesiąt lat temu. Natomiast kulturalne ich postępy od czasu zniesienia niewolnictwa są wprost olbrzymie.

(D. n.).

Władysław Krakowski.

LITERATURA I SZTUKA.

NOWE KSIĄŻKI.

— Antonina Gedroić-Matuszewiczowa: **Kobieta**, studyum duszy. Lwów, Altenberg, 1904.

Studyum duszy. Mówią, że każdy człowiek własną swą treść kładzie w wyrazy, którymi operuje. Powieść ta najświetniej potwierdza to zdanie. Duszą autorka nazywa pewien nieskomplikowany automat, zbudowany na wzór różnych romansów a la Bourget. A więc kobieta — niby niezależna, kokietuje, pogardza tymi, którzy jej niosą hołdy, a kładzie się u stóp tego, który ją zimno i lekceważąco traktuje. Znana historya, zaczerpnięta z menażeryi.

Swoje studyum psychologiczne autorka przeprowadza zgodnie z wymaganiami techniki beletrystyki salonowej. Żadnego pogłębienia, żadnej oryginalności tu niema. Przeciętność, przeciętność! Może być nawet „poczytną,“ lecz od prawdziwej twórczości trzyma się w dystyngowanem oddaleniu.

— Wacław Żmudzki: **Z pamiętnika psychopaty**. Lwów. Księgarnia Polska.

Zwrot od dawnego realizmu ku nowym prądom zapanował w naszej literaturze. Młode dążenia zyskały pewną podstawę i poczęły kształcić nowe pokolenie pisarskie.

Ulubionym rysem dzisiejszych powieściopisarzy jest analiza psychologiczna. Wymaga ona wielkiego talentu i oryginalnej umysłowości. Tymczasem te jej próby, które zapełniają półki księgarskie, nie wychodzą po za ramki szablonu i odznaczają się przedewszystkiem brakiem wszelkiej żywszej iskry twórczej. Do takich utworów należy i powieść p. Żmudzkiego. Temat wyszukany, całość wywiera wrażenie chłodnego wypracowania. Psychologia rwie się, zaciera, język i opracowanie bez wyrazu, wszystko świadczy o różnych zamiarach autora, nieraz dość ciekawie pomyślanych, lecz jednocześnie i o braku siły do wypełnienia powziętego zadania. Aby stworzyć dzieło artystyczne, niedosyć jest znaleźć interesujący temat, należy mieć talent, zdolność intuicyjnego rozumienia ludzi, a tego w tej powieści niema.

— Jan Lemański: **Proza ironiczna**. Warszawa. Gebethner i Wolff.

Jeżeli dziś napotykamy kiedy uśmiech zabłąkany na ustach, to jest prawie zawsze równoznaczny łzom, płynie z goryczy, bólu, szyderstwa lub zwątpienia. Smutek i bolesna zaduma przeniknęły całą twórczość współczesną. Rodzą one ironię, która wielką jest dziś panią w poezyi. Ma ona swe specyalne cechy, mówiące wiele o obecnem pokoleniu. Górującym w niej tonem odzywa się poczucie bezsilności. Takim wielkim ironistą jest J. Laforgue.

Nam tego rodzaju ironia mało jest znana. W twórczości naszej pełno tych bolesnych tonów. Lecz ogół tego nie lubi, bo on pragnie, aby wszystko było jasno i wyraźnie powiedziane. Mamy więc ironistów „zawodowych.“ Stara generacya już zamilkła; niedobitki pocieszają się urządzaniem jubileuszów Kostrzewskiego. Wśród młodych sporo rozgłosu zdobył p. J. Lemański. Pierwsze utwory jego, drukowane wyłącznie w *Chimerze*, zwróciły na siebie uwagę pewną oryginalnością pomysłu i nową stosunkowo formą. Późniejsze jednak nie przyniosły nic nowego i stawały się coraz bardziej monotonnymi, coraz częściej nużą jednostajnością. Przyczyn tego nie mam zamiaru poszukiwać, nie należy to do krytyki, oddaję tylko wrażenie, jakie te różne bajki, przypowiastki, sielanki itd. wywierają. Niema w nich głębszego uczucia, obejmującego je w jedną całość. Są tylko bardzo nawet czasem dobre koncepty, lubowanie się w „kawałach.“

Utwory te blizkie są ramotom Bałuckiego, Jordana i innych wskutek częstego używania znanych efektów, w rodzaju nadawania nazw geograficznych, jako Fetory, Zafajdanówki itd. Przebrzmiało to dziś, nie wywołuje wrażenia. Tam, gdzie autor chce mówić serdeczniej, tam jeszcze bardziej wychodzi na jaw zmanierowanie jego talentu.

Niektóre obrazy są dość ładne i świeże. Więcej ich w bajkach rymowanych, niż w prozie. Z zamiłowaniem przedstawia Lemański Kanta, jako proroka przeciętności.

Niektóre znów kawałki zaczepiają o satyrę. Ta jednak nie mamy ani bardziej oryginalnego ujęcia, ani żywego oświetlenia. Nie doszło tętno nowego życia, dawne wartości, dawne szyderstwa, znane kpiny i urągania.

Utwory te jednak, szczególniej pierwsze dwie bajki, czyta się z zajęciem.

B. B.

Whistleriana Ledwo rok minął od zgonu Whistlera, a już powstała dość pokaźna literatura o tej znakomitej i odrębnej zupełnie osobistości artystycznej.

Po za bardzo licznemi, drobniejszemi rozprawkami, rozrzuconemi po różnych czasopismach artystycznych, można zaregestrować szereg dzieł o większym zakresie. Najwcześniej ukazała się monografia zmarłego artysty pióra pp. R. T. Way i G. R. Dennis, z których pierwszy zaszczytnie jest znany z niezrównanych reprodukcyj litograficznych rysunków pastelowych mistrza, kilkakrotnie do czasopisma *The Studio* dołączonych. Monografia ta nosi tytuł „The Art of James Mc Neill Whistler“ (Londyn, G. Bell et Sons). W ostatnich miesiącach pojawiły się jeszcze trzy prace.

Amerykański krytyk, Arthur J. Eddy, opisał swoje wspomnienia i całą wiązankę danych biograficznych wraz z anegdotami z życia artysty w gustownie wydanej książce „Recollections and Impressions of James A. Mc Neill Whistler“ (Philadelphia, J. B. Lippincot C-o), angielski malarz i akwaforcista Mortimer Menpes, z którym Whistler przez kilka lat żył w bardzo blizkich stosunkach, by się później z nim poróżnić, w obszernem dziele „Whistler as I knew Him“ (Londyn, A. a. C. Black) skreślił przebieg tej przyjaźni i szczegółową charakterystykę mistrza, nareszcie francuski krytyk i biograf Edwarda Monet, Teodor Duret, długoletni znajomy i wielbiciel artysty, daje jego dokładny życiorys od chwili przybycia z Ameryki do Paryża w r. 1855, oraz ocenę jego twórczości w wydaniu zbytkownem „J. Mc N. Whistler, Peintre et Graveur“ (Paryż, H. Fleury). Ostatnie dwie prace wyróżniają się bardzo obfitym materyałem ilustracyjnym, tak jednobarwnym, jak kolorowym, w części nigdy przedtem niereprodukowanym.

Znacznie skromniejszych rozmiarów i bez charakteru dokumentalnego, ale żywo i ze znajomością rzeczy napisana została mała książeczka drezdeńskiego profesora, H. W. Singera „James Mc. N. Whistler,“ z seryi monografij ilustrowanych, wydanych w Berlinie pod godłem „Die Kunst“ i pod kierownictwem prof. R. Muthera. Zalety zwięzłości i nader dostępnej ceny czynią ją odpowiednią dla wymagań szerokich kół inteligencyi. *P. E.*

SPRAWY EKONOMICZNE

Przemysł na G. Śląsku

w r. 1903

i sprawa górniczych kas brackich.

(Dokończenie).

Powstaje pytanie: kto zarządza temi kasami, kto ma na nie wpływ miarodajny. Podług ustawy papierowej jedną połowę ½ członków zarządu kasy wybierają przedstawiciele kopalń, drugą „starsi knapszaftowi.“ Starsi knapszaftowi zaś mają być, również na papierze, przedstawicielami robotników, którzy ich bezpośrednio wybierają. Jak się sprawa jednak w rzeczywistości przedstawia? W górno-śląskiej kasie brackiej wybory „starszych“ są *jawne*. Pod naciskiem urzędników kopalnianych górnicy nie mają jeszcze odwagi wybierać swych rzeczywistych przedstawicieli, a bezmyślnie, nieraz ściskając pięści ze złości, oddają swe głosy kandydatom przedstawianym im przez zarząd kopalni. Wobec tego na G. Śląsku „starszymi“ są zwykle sztygarzy, zawiadowcy kopalń, dozorcy i inni urzędnicy, którzy w administracyi kasy ślepo oczywiście spełniają rozkazy swych szefów. Jednem słowem, górnośląska kasa bracka znajduje się zupełnie w rękach kapitału; górnicy tutejsi na zarząd kasy nie mają najmniejszego wpływu. W innych knapszaftach, jak np. w westfalskim zorganizowani górnicy zdobyli znaczną część mandatów „starszych“. W łonie kasy jest poważna opozycya w myśl żądań górniczych, opozycya, z którą zarząd, składający się i tam z dyrektorów kopalń, liczyć się musi. Obecnie odbywają się w Westfalii wybory „starszych,“ prowadzone z niezwykłą zaciekłością i w przeciwieństwie do G. Śląska — tajnie za pomocą zakrytych kartek.

Dwa tygodnie temu odbyły się pod Katowicami na kopalni „Ferdynand“ wybory starszego, ogłoszone na dwa dni przed tem za pomocą rozlepionych kartek. Z 2,000 przeszło górników przybyło zaledwie 80 i oczywiście wybrali wysokiego urzędnika. Organizacya górników zwołała zebranie, na którem przeszło 300 robotników protestowało przeciwko takim wyborom i wniosło zażalenie do zarządu kasy o unieważnienie — oczywiście bez skutku. Urzędnik, wybrany przez 80 robotników, będzie teraz ich przedstawicielem.“

Brak wszelkiej opozycyi w górnośląskiej kasie brackiej stworzył stosunki wprost nieznośne. „Starsi“ urzędnicy nadużywają swych praw w kasie dla szykanowania i udręczania niemiłych im robotników. „Starszy“ ma np. osądzić, czy członek jest rzeczywiście niezdolny do pracy, czy też nie. Głos „starszego“ naturalnie jest w kombinacyi z wynikiem badania lekarskiego — dla ostatecznej decyzyi miarodajnym. Górnik wie o tem. A ten „starszy“ to jego przełożony, to przedstawiciel pracodawcy. I biedny robotnik musi nieraz znieść zniewagę, wysłuchać spokojnie „chachar, polska świnia“ itd., patrzeć się na najróżniejsze bezprawia, bo jest mocno przekonany, że w przeciwnym razie grozi mu częstokroć nietylko pozbawienie pracy, lecz co gorsza szykany w kasie brackiej, utrudnienia w uzyskania renty itd. Robotnicy górnośląscy nienawidzą też urządzeń knapszaftowych; oprócz bezustannych skarg na nizkie wsparcia, wysokie składki, złe obchodzenie się z ludźmi w łazaretach utarło się w sferach robotniczych przekonanie, że dzisiejsze urządzenia knapszatowe są zręczną spekulacyą właścicieli kopalń, w celu utrzymania robotników w zupełnej zależności od siebie. Uzyskanie renty jest częstokroć połączone z niezwykłemi utrudnieniami. Ludziom, na których dość spojrzeć, aby wiedzieć, że już pracować nie mogą, odmawiają jej lub dają tak nizką, że na życie najskromniejsze nawet nie wystarcza. Wchodzi tutaj po za kasą bracką urząd ubezpieczenia w rachubę, który jako ostatnia instancya decyduje o rentach na kalectwo (przy nieszczęśliwych wypadkach w pracy). Przy ustanawianiu wsparć w kasie brackiej świadectwo lekarza knapszaftowego jest w połączeniu ze zdaniem starszego miarodajnem. Lekarze są urzędnikami Kasy i od niej zależni. Członkowie kasy nie mają najmniejszego wpływu na wybór lekarzy. Otóż nie ma na G. Śląsku robotnika, który nie byłby przekonany, że olbrzymia większość lekarzy kasy brackiej działa i wydaje świadectwa podług wskazówek dyrektorów kopaln. Robotnicy górnośląscy nie mają najmniejszego zaufania do tych, których porady muszą zasięgać. Uważają ich oni za swych zaciętych wrogów, zaprzedanych kopalniom. A ludzie, znający stosunki, przyznają robotnikom w znacznej mierze słuszność. Istnieją wśród lekarzy tacy, przeciw którym od lat nagromadziło się tyle oburzenia, tyle nienawiści ludowej, jak przeciw żadnemu nawet dyrektorowi kopalni, z których przecież ani jeden nie cieszy się sympatyą ludu.

Notatki kas brackich wykazują stosunki hygieniczne członków. Na 100 marek wydatków wypadało w Prusach na chorych: w 1901 r. — 39.52 m.; w 1900 — 36.83 m.; w 1899 — 35.18 m.; w 1897 r. — 31,69 m. „Rubryka „wydatki na chorych“ powiększyła się więc. Znaczną część tych wydatków pochłaniaja lekarze, aptcki (na G. Śląsku w 1901 r. 1,118,912 m.), o wiele mniejszą—wsparcie dla chorych (G. Śląsk 1901 r. — 389,410 m.). Wydatki powiększyły się, gdyż jest coraz więcej górników chorych. Ze statystyki kas brackich na r. 1901 wynika:

W okr. górniczym	Wydano na chorych, lekarzy, apteki itd. przecięt. na członka	Na każdego chorego przypada zapłaconych dni choroby
Wrocławskim	16.97 m.	17.4 m.
Dortmundzkim	37.57 „	16.6 „

Na śląsku górnicy chorowali przeciętnie dłużej — w Westfalii płacono więcej na chorych.

Podług statystyki *wszystkich* kas brackich w Niemczech wypłacano przeciętnie *rocznie*:

Pensyi	1896 r.	1897 r.	1899 r.	1900 r.	1901 r.
dla inwalidów	211.34	210.23	224.12	230.27	229.05
dla wdów	104.49	106.31	109.87	112 32	113.37
dla sierot	33.28	43 26	35 11	59.69	59.80

Rzeczywistość wygląda więc zupełnie inaczej, niż obiecujące przepisy ustaw! Na sieroty wypada 1 m. 14 fen. na tydzień, czyli 16 fenigów dziennie.

W górnośląskiej kasie płacono inwalidom przeciętnie w 1888 r. 203 m., w 1901 r. 239 m. rocznie. W przeciągu 13 lat podwyższono więc pensye o 36 marek, w tym samym czasie komorne, artykuły spożywcze podskoczyły w cenie w stopniu o wiele wyższym. Renty dla wdów podwyższyły się zaledwie o kilka marek rocznie.

Członek górnośląskiej kasy brackiej traci wszelkie swe prawa, gdy wyjeżdża np. do Westfalii, chyba że opłaca i nadal *podwójną* składkę (za siebie i za kopalnię), przyczem musi częstokroć i na nowem miejscu pracy opłacać tamtejszą kasę. Na to zwykle nie wystarcza mu już; górnik nie może opłacać kasy starej i traci wszelkie prawa. System ten oczywiście odpowiada interesom właścicieli kopalń, którzy starają się utrudnić górnikom wyjazd ze Śląska; a na Śląsku „czarne listy“ na opornych są w obiegu. Knapszafty przykuwają górników do starego okręgu pracy, jak chłopów dawniejsze ustawy pańszczyźniane.

W r. 1901 naliczono w pruskich kasach brackich 40,792 chorych, których choroba powstała z powodu nieszczęśliwego wypadku przy pracy. W przemyśle niegórniczym na wypadki te istnieje tylko państwowa kasa ubezpieczenia (Unfallversicherung), opłacana przez przemysł, a nie przez robotników. Górnicy jednak ponoszą znaczną część kosztów w tych wypadkach z kasy brackiej, którą do połowy lub w wyższym jeszcze stosunku procentowym sami opłacają. Wogóle liczono w pruskich knapszaftach w r. 1901 356,030 wypadków choroby na 613,131 członków, czyli 58 wypadków na 100 członków (w 1885 r. — 52,9 wypadków, w 1890 r. — 54,7, w 1895 r. — 56,5). Stan zdrowotności wśród górników w Prusach jest więc coraz gorszy.

Z programu reform związku górników podamy kilka najważniejszych punktów. Ośmiogodzinny dzień pracy. Zakaz szycht dodatkowych. Zakaz pracy podziemnej dla chłopców poniżej lat 18. Zakaz pracy dla kobiet w kopalniach i hutach. Ustanowienie taryfy zarobkowej. Zaostrzenie kontroli górniczej za pomocą kontrolerów, wybranych przez górników. Samorząd robotników w kasach brackich.

Jako najbliższy program reformy kas brackich robotnicy stawiają żądania następujące:

1) Tajne i bezpośrednie prawo wyboru „starszych.“

2) Niedopuszczalność wyboru urzędników na „starszych.“

3) Równe składki dla robotników i właścicieli kopalń (są już na G. Śląsku.)

4) Podwyższenie wsparcia dla chorych na $^2/_3$ zarobku. Podwyższenie pensyi inwalidów przynajmniej na 50% zarobku. Równe składki i prawa. Zniesienie klas.

5) Zniesienie klasy „mniej uprawnionych.“

6) Bezwarunkowe prawo do pensyi po 25 letniej pracy.

7) Wolny wybór lekarzy.

8) Traktaty wzajemności pomiędzy poszczególnemi kasami w celu zapewnienia praw członkom przechodzącym. Złączenie kas okręgów, a potem całego państwa.

W dalszym ciągu górnicy żądają jednolitego prawa górniczego na całą Rzeszę, stworzenia jednolitej kasy brackiej na całe Niemcy, samorządu robotników w kasach.

Sprawy te mają dla G. Śląska znaczenie nadzwyczaj ważne. Staraliśmy się wykazać, że zależność tutejszych górników polega w części na smutnych stosunkach kas brackich. Oczywiście — po za tem pozostaje brak organizacyi silnej — potęga scentralizowanego kapitału.

Prawdziwego rozwoju kultury nie będzie na G. Śląsku, dopóki trwa ta zależność *setek tysięcy* od *kilku* magnatów feudalnych, kilku dyrektorów spółek akcyjnych. Wszystkie siły ludowe, dbające szczerze o rozwój ludu polskiego na G. Śląsku, powinny być skierowane ku poprawie tych stosunków. Dopóki dzieło to nie jest dokonane, dopóty wszelkie *deklamacye* o „odrodzeniu narodowem G. Śląska“ pozostaną pustym frazesem!

Podczas nieszczęsnych rozruchów w Laurahucie naczelnik gminy groził zgromadzonym tłumom, że się *dostaną* do „cuchthauzu“ (dom karny, zaostrzone więzienie). Z tłumu zaś odpowiedziano: „My już dzisiaj *jesteśmy* w cuchthauzie!“ Przy rozprawie sądowej prokurator pruski podniósł te słowa dla uzasadnienia surowości swych wniosków. Prokurator nie zna ludu górnośląskiego. Gdyby znał, wiedziałby, że tak samo czuje i myśli *cała* ludność tutejszego okręgu, że słowa te określają najlepiej jej pogląd na swój byt.

I coraz więcej ich myśli o tem, jak wyjść z tego „cuchthauzu.“ Organizacye rozwijają się. Na zebraniach w Domu związkowym w Katowicach coraz więcej ludzi, więcej zapału i energii, wbrew przeszkodom, stawianym ze wszystkich stron, wbrew coraz częściej powtarzającym się zaniom o ruchu wbrew, wstrętnej demagogii organu posła Korfantego, który zwalcza ruch sposobami hakatystycznych świstków niemieckich. Na jednym z ostatnich zebrań górniczych zerwała się burza oklasków, gdy jeden z mówców z oburzeniem zawołał: „Warunki tutejsze wymagają przedewszystkiem silnej i jednolitej organizacyi. Wszystkie mowy Korfantego w sejmie i w parlamencie razem wzięte nie przynoszą tyle korzyści, ile szkody robi każdy artykuł *Górnoślązaka* przeciw organizacyi na G. Śląsku.

H. J.

NA MARGINESIE

—B—

Małżeństwo na pewien czas. Londyńska gazeta *Daily Mail* podaje rozmowę jednego ze swych reporterów ze znanym pisarzem angielskim Jerzym Merdithem o małżeństwie na pewien czas. Meredith utrzymuje, że sprawy tej nie można traktować powierzchownie, że należy się dobrze zastanowić nad tem, co się o niej chce powiedzieć. „Czyż młoda, ośmnastoletnia dziewczyna — mówi on — która nie zna ani tego mężczyzny, za którego zamąż wychodzi, ani żadnego innego wogóle, ma być skazana na wieczne z tym jednym życie? Ją nie łączy z nim żadna sympatya, żadna wspólność upodobań, nic prócz stosunku fizycznego. W tych warunkach istnienie staje się wprost niemożliwem, a jednak znosi się je, dlatego, że tak zwyczaj każe, że tak świat chce. Ale przyjdzie niewątpliwie czas, kiedy dzisiejsze stosunki małżeńskie zupełnej ulegną zmianie, wtedy powstanie zwyczaj, zawieranie małżeństwa na pewien czas, coś około dziesięciu lat. A państwo dawać będzie baczenie, aby na wychowanie dzieci dostateczna suma została złożona. Może ono samo zarząd temi pieniędzmi weźmie na siebie. Przedtem jednak wiele będzie hałasu w świecie, zanim taka zmiana nastąpi. I wiele zgorszenia — ale proszę tylko spojrzeć, ile to już zgorszeń przetrwaliśmy, a ile zmianom podlegało małżeństwo w przeszłości. Najtrudniej będzie zmusić Anglika do spojrzenia zagadnieniu prosto w oczy. Dla niego życie pod przymusem jest koniecznością, jak dla nikogo innego w całym świecie. On nie chce słyszeć, ażeby można było taką kwestyę przy pomocy filozofii rozwiązać. Krytykując Amerykę, on wszystko, co w niej jest nowe, nazywa objawem chorobliwym. Ale sprawy małżeństwa nie można rozstrzygnąć w

kilku słowach: zbyt tu wiele ciemności. Powietrza trzeba wpuścić, świeżego powietrza!“

Niemoralny szkielet. W Bawaryi młodzież katolicka prowadzi studya teologiczne w tak zwanych liceach. Niedawno w jednym z tych zakładów mianowano nowego profesora nauk przyrodniczych. Ten, oglądając zbiory, zauważył nadzwyczajne ubóstwo sekcyi antropologicznej — tylko jeden szkielet ludzki, ale tak osobliwy, że profesor pomimo całej swej uczoności był zmuszony wezwać służącego do objaśnienia obecności w jego składzie czegoś w rodzaju liścia zrobionego z wosku; służący wytłomaczył, że przedmiot, którego znaczenia profesor nie mógł pojąć, był istotnie liściem figowym z wosku, doczepianym do szkieletu przed każdem ustawieniem go w audytoryum. Takie rzeczy można jeszcze oglądać w XX wieku!

Z PRASY.

— W nr. 490 *Gońca* wieczornego czytamy: „Trwające obecnie święta izraelskie — jak nas informują ze źródła — wykazały w całej pełni nędzę, panującą obecnie wśród drobnych rzemieślników i pracujących w domu dla fabryk hurtowych, nalewkowskich.

Zastój przemysłowy oraz niesłychane zmniejszenie się zapotrzebowań do Cesarstwa, ludność ubogą i pracującą z dnia na dzień dla opędzenia potrzeb doprowadził do ruiny.

Fabrykanci kapeluszy filcowych, rękawiczników, szewcy, wyrabiający obuwie „Nr. I.“ (tańsze), krawcy męzcy i damscy na hurt, zegarmistrze „monterzy,“ lakiernicy i blacharze galanteryjni cierpią wielki niedostatek wobec zamknięcia lub ograniczenia produkcyi w fabrykach.

Gmina, po sprawdzeniu ciężkiego położenia, przestała wymagać uiszczania wszelkich składek od ludzi, którzy na pewien czas utracili możność pracy.

Izraelici zamożniejsi nie szczędzą ofiar na wsparcie podupadłych, co jednak wobec rozmiarów nędzy, jest tylko półśrodkiem.“

— *Russk. Wied.* podają głosy prasy francuskiej o pośrednictwie pokojowem.

„*Action* występuje energicznie o jak najprędsze zakończenie wojny i proponuje ministrowi spraw zagranicznych, Delcassému, aby rozpoczął układy z Rosyą i Chinami co do zwrotu Mandżuryi. „Francya — pisze — ma prawo i obowiązek zmuszenia do wysłuchania głosu rozumu, prawdziwych interesów i honoru. Francya nie narazi się na żadne niebezpieczeństwo, jeżeli weźmie na siebie inicyatywę układów, lecz przeciwnie, zasłuży sobie na wdzięczność wszystkich narodów i na poklask całego świata cywilizowanego. Rosya oświadczyła, że nie przyjmie żadnego pośrednictwa w zatargu z Japonią. Dobrze! Niech więc Francya wywoła układy między Rosyą a Chinami. Ważnym przecież jest tylko rezultat, a ten w jednym i drugim wypadku będzie jednakowy. Chwila pokoju wybiła!“

Z drugiej strony Clemenceau w *Aurore* uważa, że czas pośrednictwa jeszcze nie nastąpił. „Któż zdecyduje się — pyta — wziąć na siebie inicyatywę i narazić się na niebezpieczeństwo wzmocnienia tylko niedowierzania i wrogich uczuć, które zamierzono osłabić? Ileż to razy interwencya europejska miała okropne następstwa dla tych, którzy się na nią zgodzili! W Berlinie Rosya była zmuszona patrzeć spokojnie na to, jak jej wydzierano z rąk owoce zwycięztwa nad Turcyą. Dotychczas tego nie zapomniała. Czyż dalej nie na Europę spada wina za to, że odebrano Japonii te ziemie, które zdobyła na Chinach i że ziemie te oddano Rosyi. Japonia napewno tego nie zapomniała, skoro wojna obecna jest właśnie następstwem ówczesnego postępowania Europy. Dlaczegóż Rosya i Japonia mają wyrazić gotowość przyjęcia pośrednictwa ze strony tych, którzy w podobnych warunkach dawali tylko powód do niezadowolenia? Francya, jako sprzymierzona z Rosyą, a Anglia, jako sprzymierzona z Japonią, mogłyby ofiarować swoje usługi tylko w razie bezpośredniego zwrócenia się do nich państw zainteresowanych, a te w danej chwili zupełnie o tem nie myślą.“

Clémenceau nie wierzy też w pośrednictwo Niemiec i w sąd polubowny.“

— *Now. Wrem.* cytuje z *Morning Post* wiadomość, że „w szkołach japońskich chłopcy uczą się sztuki wojennej od oficerów i podoficerów, a wyższe klasy uczestniczą nawet w corocznych ćwiczeniach razem z wojskami. Manewry te, to nietylko ćwiczenia fizyczne; chłopcy uczą się również służby w szeregach i umiejętności obchodzenia się z bronią. Ci, którzy nie dostali się do armii stałej, są powoływani na czas krótki na ćwiczenia, w celu odświeżenia nabytych poprzednio wiadomości wojennych. Tym sposobem ministeryum wojny posiada do rozporządzenia rezerwistów, którzy po dwóch, trzech tygodniach służby niewiele się różnią od starych żołnierzy zawodowych.“

— *Ruś* pisze w artykule wstępnym: „Zaprawdę wszechnarodowe znaczenie ma dla nas obecna wojna z naszymi żółtymi, odwiecznymi, niedającymi się ani usunąć, ani pochłonąć sąsiadami. Nie mogę wmówić w siebie, ażeby z Japonią można było załatwić się jakimś jednym ciosem na lądzie. Prowadzi ona wojnę nie za siebie tylko, lecz i z upoważnienia Ameryki; Chin i części państw europejskich. Ze swej strony może i gotową byłaby zaniechać walki, lecz ją wynajmą inni, potrafią podjudzić do dalszej walki. Jej dotychczasowe powodzenia, jej rzeczywiste, rozległe przygotowania dają jej nadzieję, że nawet przy zmiennem szczęściu będzie mogła w każdym razie zawrzeć pokój nie po niepowodzeniach, a po zwycięztwie, choćby przypadkowem. Wszak Japonia w celu prowadzenia wojny rozporządza:

1) 50 milionami ludności, dla której wojna jest sprawą patryotyczną;

2) wszystkiemi fabrykami Ameryki i Europy zachodniej — dla przygotowania zapasów wojennych;

3) Naturalnemi bogactwami Korei — na ich opłacenie.

Gdyby w tych warunkach, przegrawszy teraz bitwę, Japończycy zgodzili się na pokój, to jedynie po to, ażeby po pewnym czasie zacząć nową wojnę z tem większymi środkami.

Narodowa to wojna czy nie, w każdym razie wstępujemy przez nią w taki okres naszego istnienia, który wymagać będzie wszystkich sił naszego narodu dla obrony naszego położenia i naszej przyszłości.

Nie my jedni na świecie mamy życzenia. Obok nas żyją, mają swe cele i dążą do ich urzeczywistnienia silne i energiczne narody. Przeciwko nam teraz jest nie jedna tylko Japonia. Na tem polega istota wszechświatowej sytuacyi. Dla całego świata wojna ta jest główną grą, w której zebrali się wszyscy wielcy gracze świata i w której wszyscy mają swe stawki, dotąd jeszcze zakryte kartą. Gdzie wydadzą nam walną bitwę — czy na polu wojny, czy na giełdzie, czy przy stole dyplomatów, nie wiemy, lecz w każdym razie musimy gromadzić nasze siły. A i sama przez się wojna japońska nie jest wcale drobnostką. Utrzymanie 200-tysięcznej armii kosztuje półtora miliona dziennie, a więc w ciągu siedmiu miesięcy 315 milionów. Armia 400-tysięczna będzie kosztowała 3 miliony dziennie, czyli 630 milionów przez pół roku. Jeżeli więc kampania zaczepna rozpocznie się na wiosnę, to znaczy, że już zgóry, zanim uczynimy pierwszy krok, włożymy w tę wojnę miliard rubli — to połowa naszego budżetu. Innemi słowy, budżet nasz tegoroczny wynosić będzie trzy miliardy rubli, nie licząc w to ofiar i strat narodowych! I rok taki będzie może niejeden.

W tak ważnej epoce powinniśmy dać sobie uczciwą i wyraźną odpowiedź: czy jesteśmy przygotowani i nieskrępowani w wyborze dróg i sposobie zastosowania wszystkich sił państwowych, czy też siły te leżą na oczach wszystkich, niewątpliwe, namacalne, lecz nieme i nieruchome, jak nieruchomy ocean. Czy zdajemy sobie sprawę z całej doniosłości przesilenia, które przebywamy?“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Warsz. Dn.* zaznacza, że mimo krytycznych czasów dla ludności pracującej, przytułki noclegowe nie cieszą względami potrzebujących dachu biedaków, przyczem robotnicy lepszej sfery stronią od nich, a zastęp noclegowców po dawnemu składa się przeważnie z osobników wykolejonych. *Warsz. Dn.* tłomaczy to uprzedzeniem ludności warszawskiej, która korzystanie z przytułku uważa za rzecz hańbiącą, za ostatni szczebel upadku. Powodem tego uprzedzenia jest samo urządzenie przytułków: niehygieniczne, brudne, zaniedbane; dalej niesegregowanie noclegowców, wreszcie częste rewizye nocne policyi, dokonywane zwykle o północy.

— *Hacofe* donosi, że obecnie układany jest w ministeryum nowy wykaz wsi, w obrębie granicy osiedlenia Żydów, które będą zamienione na miasteczka, ażeby Żydzi mogli w nich zamieszkiwać stale. Wybierane są w tym celu miejscowości z ożywionym ruchem handlowym, podług wskazówek, nadesłanych do Petersburga przez gubernatorów.

— *Gaz. Toruńska* donosi, że na wezwanie Komisyi kolonizacyjnej w okolicach Wąbrzeźna w Prusach Zachodnich osiadło niedawno wielu kolonistów z Rosyi, lecz mimo większego zarobku wracają gromadnie do miejsca dawnego zamieszkania, twierdząc, że życie tam daleko łatwiejsze, niż w Niemczech.

— Według ostatniego spisu ludności Niemcy liczą 20,321,441 katolików i 35,231,104 protestantów.

— We Włoszech ogłoszono stan oblężenia we wszystkich miastach objętych bezrobociem pracowników kolejowych.

— Z rozporządzenia władzy biskupiej w zakładzie filozoficzno-teologicznym w Paderbornie wprowadzony będzie wykład języka polskiego dla kleryków-Niemców.

— Z rozporządzenia władz amerykańskich, wychodźcy, przybywający do Nowego-Yorku, muszą oprócz biletu jazdy w głąb kraju, wykazać posiadanie gotówki w kwocie co najmniej 10 dolarów. W przeciwnym razie zatrzymują ich władze w rządzie emigracyjnym na Ellis Island i odsyłają z powrotem do kraju, jeżeli nie otrzymają dodatkowo tej sumy od swej rodziny, lub jeżeli nie dadzą za nich poręczenia jakieś towarzystwa misyjne lub wstrzemięźliwości. Od przymusowego powrotu do kraju uwolnieni są wychodźcy, którzy wykażą się dowodami, że jadą do swej rodziny, rodziców, braci, sióstr, już w Stanach Zjednoczonych zamieszkałych.

— *Rus. Wied.* zamieszczają następującą opowieść zaczerpniętą z *Koln. Zeit.*, a świadczącą o nadzwyczajnej ofiarności Japończyków na cele państwowe. Kiedy Jiei, założyciel rodu Tokugawa, odebrał Gideiori, jego zamek Osaka, znalazł on w nim 300 sztab złota, wartości 1 miliona jenów. Złoto to przekazał on drugiemu swemu synowi Joszinao, pierwszemu daimiosowi rodu Owari, pod warunkiem, że je odda narodowi w razie potrzeby. Obecny naczelnik rodu Owari, markiz Gire, uznał, że teraz nadeszła chwila spełnienia tego rozporządzenia. Udał się więc na grób Joszinay, a przedstawiwszy duchowi zmarłego, że już nadeszła najwłaściwsza pora wykonania woli założyciela rodu, cały kapitał złożył następnie w skarbie państwowym.

— Ministeryum wojny wydało polecenie, aby nie powoływano do służby wojennej sztygarów, maszynistów i innych pracowników z kopalni węgla w zagłębiu donieckiem. Również szeregowcy rezerwy, będący na służbie kolejowej, wolni będą od poboru. Zaś po opuszczeniu służby podlegać mają ogólnym prawom mobilizacyjnym.

Szkoły i wychowanie. Inspektor uniwersytetu warszawskiego wydał następujące rozporządzenie: „Ponieważ często daje się zauważyć, że studenci nie stosują się do przepisów o umundurowaniu, przeto czuję

się w ob wiązku przypomnieć, że zarówno w uniwersytecie, jak i po za obrębem obowiązani są chodzić w umundurowaniu ustanowionem. Surowo zabrania się studentom noszenia lasek. Wchodzący do uniwersytetu obowiązani są zostawić w szatni swe zwierzchnie ubranie, szpady, kalosze, czapki i para[illegible]."

— Egzaminy przy zarządzie warszawskiego okręgu komunikacyj na stopień technika odłożone zostały do 5 października.

— Z rozporządzenia ministeryum oświaty zamknięto na rok instytut nauczycielski w Tomsku.

— W Petersburgu otworzono stałe kursy rolnicze, na które przyjęto 70 słuchaczów.

— Z polecenia ministeryum oświaty do uniwersytetu warszawskiego, wyjąwszy trzech, przyjęto wszystkich kandydatów Żydów, którzy otrzymali tego roku w gimnazyum medal złoty lub srebrny.

— Wydział naukowy ministeryum skarbu ogłasza, że egzamina piśmienne i ustne przed komisyą egzaminacyjną na prawo wykładania przedmiotów specyalnych w szkołach handlowych, znajdujących się pod zarządem ministeryum skarbu, będą się odbywały w lokalu szkoły Piotrowskiej petersburskiego zgromadzenia kupców (Fontanka 62) od d. 8 październiika do d. 10 tegoż miesiąca. Osoby, które złożyły podania o dopuszczenie ich do egzaminów i wykładów próbnych, powinny stawić się do rzeczonej szkoły w sobotę, d. 8 października, o godz. 7 wieczorem.

Wiadomości naukowe. W Wrocławiu odbył się 76 kongres niemieckich lekarzy i przyrodników.

Literatura i prasa. Na konkursie Tow. wioślarskiego, na tekst do pieśni wioślarskiej, wyróżniono nagrodami 25 rublowemi trzy utwory — pp. Kazimierza Glińskiego, Artura Oppmana (Or-ota) i autora bezimiennego.

— Sąd konkursowy wydziału filozoficznego uniwersytetu lwowskiego z funduszów przeznaczonych przez H. Wawelberga na prace z historyi Żydów w Polsce w r. b. przyznał nagrodę dr. M. Bałabanowi za „Historyę Żydów m. Lwowa do końca XVII wieku." Dzieło to wydrukowane będzie nakładem funduszu konkursowego.

— Uzyskano pozwolenie na wydawanie w Warszawie pism polskich: p. Gładych *Drogisty*, p. Mytyńska *Towarzysza młodzieży* i p. Korejska *Swiata nowości*.

Sprawy ekonomiczne. Urząd gubernialny warszawski do spraw fabrycznych postanowił wnieść do książeczek obrachunkowych przepis o prawach wynagrodzenia robotników za nieszczęśliwe wypadki przy pracy.

— *Birż. wied.* donoszą, że ministeryum spraw wewnętrznych zaleciło zarządom miejskim, aby nie wszczynały starań o pożyczki skarbowe, lecz zwracały się do instytucyj kredytowy prywatnych.

— Powstał projekt zakładania małych składów i wydawania pożyczek na zastaw zboża, w celu zabezpieczenia włościan od wyzysku pośredników i konieczności sprzedawania produktu po niskiej [illegible].

— W *Gaz. Losowań* czytamy: „Przemysł metalurgiczny w Królestwie Polskiem cieszy się żywem powodzeniem. Natomiast wszystkie inne gałęzie przemysłu, bądź z powodu wojny, bądź z powodu nieurodzaju i drożyzny kuleją. Okrąg łódzki odczuwa bardzo dotkliwie ten stan rzeczy. Ruch budowlany w sezonie po 1 lipca zaczął się rozwijać żywo, przychodząc z pomocą sytuacyi ogólnej i dając pracę dziesiątkom tysięcy rąk. Niestety, na tem polu ku końcowi sezonu, to jest w chwili najgorętszej, zaszły nieporozumienia pomiędzy przedsiębiorcami a bezpośrednimi wykonawcami. Roboty stanęły, przynosząc wielkie szkody wszystkim gałęziom przemysłu z ruchem budowlanym związanym i powiększając liczbę i tak znaczną bezczynnej ludności. Niepodobna obliczyć, w jaki sposób [illegible] dobrowolna bezczynność odbiłaby się na sytuacyi [illegible] jednej strony, z drugiej zaś jakie będą jej następstwa w stosunkach pomiędzy przedsiębiorcami a właścicielami posesyj i pomiędzy tymi ostatnimi a przyszłymi ich lokatorami. Na szczęście zatarg został zażegnany."

— Senat orzekł, że zarządy miejskie nie mają prawa żądać opłaty od wozów ze zbożem na targach.

— Przy pomocy Banku włościańskiego w gub. Grodzieńskiej zawarto w 1890 r. 115 umów, w 1900 — 132, w 1901 — 248, w 1902 — 186, w 1903 — 204. Ogółem nabyto ziemi 50,000 dziesięcin za 4 mil. rb., w tej sumie mieści się 2,750,000 rb. pożyczki bankowej, resztę zapłacili włościanie.

Koleje i komunikacye. Najdłuższa linia telefoniczna, między Nowym Yorkiem a San Francisco, wynosząca 5,000 kilometrów, wkrótce oddana będzie do użytku publicznego za opłatą 12 dol. za 3-minutową rozmowę.

Zmarli. Kazimierz Zielonka, współredaktor *Gazety Lwowskiej*.

— Jerzy Goldman, współpracownik handlowo-ekonomicznych pism warszawskich.

— Do dzisiejszego numeru dołączamy prospekt Psychologii wychowawczej Jakoba Sully'ego.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.